K. Budkiewicz

SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.

(J. I. KRASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 31 Maja.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
JAN WASZKIEWICZ.

OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.



OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.

KRONIKA

z czasów Zygmunta trzeciego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

z trzema rycinami.

TOM I.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Adamowi Zawadzkiemu

w dowód

serdecznéj przyjaźni

od

AUTORA.

d. 16 Maja 1841 r.
w Gródku.

I.

Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599.

I.

Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599.

Nie było podobno burzliwszego panowania w Polsce, nad czasy rządów bezsilnego Zygmunta III. Przez ciąg długiego jego życia toczyła się walka, poczęta jeszcze

za Zygmunta Augusta, wstrzymana chwilę silną dłonią Stefana, która pod Władysławem IV. miała być wygraną na stronę szlachty, domagającéj się nieograniczonych a szkodliwych sobie swobód. Słabość Zygmunta III. którego berłem i umysłem władali Jezuici, sprzyjała walce codzień bardziéj gorszącéj, codzień smutniejszą zapowiadającéj przyszłość. Kraj dzielił się i rozpadał na stronnictwa, wrzał wojną domową, którą tylko niekiedy niebespieczeństwo kraju pohamować mogło wspólném wszystkich niebezpieczeństwem. Król gorliwy katolik, dał się uwieść duchowieństwu, na którego czele stali Jezuici, w walkę z różnowiercami: powiększał się nią niepokój i zaburzenia wewnętrzne. Reforma była już silna i opierać się mogła, bo za Augusta, który władzę duchowieństwa starał się ukrócić, nabrała sił i potężnie się rozwinęła; za Stefana, który się za żadną stroną nie ogłosił i podejrzéwany naprzód o różnowierstwo, nawrócony potém przez Solikowskiego, starał się tylko ściśle sprawiedliwym dla obu stron okazać; — za Stefana nie osłabła. Przy Elekcji

Zygmunta III. już partja katolicka była silniejszą, i ledwie nowowiercy sankcją prawną, dla swobodnego spełniania obrzędów swych otrzymać mogli, chociaż Biskup Solikowski tak zapalczywie piersi był swoje obnażył, ofiarując się godność i życie utracić, nimby na nadanie swobód różnowiercom dozwolić miał. Łatwo pojąć, jak, gdy strony katolicka i nowowierska prawie na równym stopniu siły stały, w czasie Elekcji Zygmunta III., pochylenie się panującego na jednę z nich, musiało ją uczynić silniejszą i przeważniejszą. Stało się to jednak nie bez silnego oporu, i różnowiercy nie dali się od razu pożyć. Jezuici, których wpływ był tak wielki, znaczenie tak ważne, wszelkiemi siłami starali się Króla zaostrzyć przeciw protestantom, i dokazali tego nareście. Wkrótce Zygmunt III., tercjarz ich zakonu, pokorny ich sługa, bo umieli zręcznie jego namiętnościom dogadzać, łechtany lub strofowany przez nich, dał się nakłonić na wszystko, czego od niego żądali. Nie podobna było myśléć o nawróceniu reformowanych (chociaż i tak wielka ich liczba zaczęła

wracać na łono Katolickiego Kościoła) obrócono się przeciw wyznaniu Wschodniego Kościoła. Kilkakrotne a prawie bezskuteczne Unje, naprowadziły na myśl nowéj i skuteczniejszéj. Posłani Biskupi do Rzymu z wymożonemi w Brześciu podpisami. Uczyniono z tego wiele hałasu, a następnie zajęto się przyprowadzeniem do skutku Unji, dotąd tylko na papierze będącéj. Wiadomo jak głowy wyznania tego w Litwie silnie się przeciw Unji zaprotestowały, jak ucisk, którego powodem byli Jezuici, wzbudził powszechne szemranie. Poczęło się prześladowanie mocne wyznawców Wschodniego obrządku, poczęto krzywdzić ich, osadzać unitami plebanje, zbrojną ręką nachodzić Monastéry, odwracać fundusze i uciskać dla nakłonienia do Unji. Mały z tego był jednak skutek: prześladowanie jątrzy nie nawraca, utwierdza nie pokonywa. Podobnego prześladowania od Katolicko - Jezuito - Królewskiéj partji doświadczyli także i innych wyznań ludzie, wyznań, których liczba namnożyła się była nieskończenie ostatniemi czasy. Nie śmiejąc do

otwartéj stanąć walki, wszyscy różnowiercy spójrzeli na się i znieśli się, aby podać sobie ręce. Była to myśl wyborna, lecz w skutkach mała, dla tego, że bez jedności wiary, choć ich jedno łączyło niebezpieczeństwo, nie mogło być zupełnéj zgody, jednostajnego dążenia i działania. Nie probując nawet połączenia duchownego, wszyscy różnowiercy, grecy, ewangelicy, protestanci, arjanie i t. d. uczynili konfederacją w Wilnie 1599 roku. Na jéj czele stali najmożniejsi różnowiercy Korony i Litwy. Ta Konfederacja za cel miała *conjunctis viribus* oprzéć się zagrażającym krokom zaczepnym stronnictwa Katolickiego; stanąć przeciw prześladowaniu murem; bronić się od niego. Skonfederowani oświadczyli, że nie dopuszczą nadużyć, że zbrojną nawet ręką staną przeciw Katolickiego duchowieństwa najściom i uciskom. Odkryto w akcie związku wszystkie rany dolegające im, wezwano do wspólnéj obrony, naznaczono prowizorów do czuwania nad całością Kirch, Cerkwi i Zborów, zagrożono kraj wojną domową. Dwieście osób ze szlachty należały do

téj konfederacji, Xiążęta Ostrogskie, Sanguszkowie, Wiśniowieccy, Koreccy, Rożyńscy, Gorscy, Sołomereccy, Puzynowie, Radziwiłłowie, Hlebowicze, Hołowczyńscy, stali na czele; z Polski mniejsza liczba i mniéj przemożnych osób. Dziwno jest że tak na pozór znacząca konfederacja rozbiła się bezsilnie, i ledwie biernie oporem samym działać mogła przeciw Katolicko-Królewskiemu stronnictwu. Lecz, jakkolwiek dla swobód religijnych, mało o tém związek szlachty uczynił, pomnożył on rozruchy w kraju i wyraźniéj jeszcze podzielił go na dwa stronnictwa nieprzyjaźne, katolików i nowowierców. Radziwiłłowie i Xiążęta Ostrogscy stali na czele jednéj; Król, Jezuici, Chodkiewicze, Mnichowie, Sapiehowie, drugiéj.

Potrzebowaliśmy w kilku słowach ten stan kraju określić, aby co następuje zrozumialszém i jaśniejszém się stało.

Tak się więc miało w r. 1599 — Szlachta dzieliła się na dwa stronnictwa, jednemu Król, drugiemu możni różnowiercy przewodzili. W Litwie, mianowicie skutkiem powolności

Zygmunta Augusta, który usiłując ukrócić władzę duchowieństwa, powiększył swobody różnowierców, liczba tych była znaczniejsza, głowy więcéj znaczące. Wpływała na to i liczba wyznawców Wschodniego Kościoła; liczba wielka, pomnażająca stronnictwo i uciśnionych. Znacznie późniéj pod wpływem czasów Zygmunta III. powrócili Sapiehowie, Radziwiłłowie Ostrogscy i inni, na łono Katolickiego Kościoła. Tym czasem, w r. 1599 najmożniéjsi byli ze strony konfederacji, słabsza daleko partja katolicka, na któréj czele ulubieńcy Królewscy, stali Chodkiewicze.

Wilno, stolica Litwy, było ogniskiem walki, począwszy od wprowadzenia tu Jezuitów. Przed niemi przemagali tu różnowiercy, lecz już za Stefana i zaraz w początkach panowania Zygmunta III. wzbili się w siłę pod wodzą Jezuitów Katolicy i rej wiedli. Któż dziś jeszcze nie wié, że Jezuitów wszelki oręż, wszelki sposób był dobry, byle ich do zwycięztwa prowadził? Siłą, zdradą, namową, piéniędzmi, walczyli bez wyboru, i coraz a coraz mocniejsi, coraz przeważniejsi, coraz nie-

bezpieczniejsi się stawali. Kiedy piérwsi z ich zakonu przybyli do Wilna, kupy śmieci i gnoju, leżały przed Archiprezbiterjalnym Kościołem Ś. Jana, a śpiew psalmów we Zborze sąsiednim, głuszył nieśmiałe głosy gregorjańskiego kantu kapłanów katolickich. W lat niewiele potém, zaczęto palić xięgi różnowierców w Rynku ręką kata! lud napadał Zbory, rzucał kamieniami na przechodzących pastorów: w lat kilka reformowani osłabli i ledwie się bronić mogli. Unici odbierali Cerkwie i Monastéry Grekom, a gdy Trybunał osądził w duchu prawdy przeciw nim, Król kassował dekret i sądził za niémi! Co chwila, po ulicach, smętarzach, u drzwi kościołów odbywały się walki krwawe o ich posiadanie, bito się w przedsieniach Cerkwi, trupami zawalały się stopnie ołtarzy, katolicy zwyciężali. Powoli drukarnie Protestantów upadły, 'pogorzały zbory, osłabli na duchu różnowiercy, a raczéj uczuli się bezsilnemi przeciw nieskończonéj liczbie i rodzajowi oręży Jezuitów, którzy podstępem, bojem, kłamstwem i czémże jeszcze! nie szli do celu.

Jednakże w 1599 roku, gdy się nasza powieść zaczyna, w czasie zwłaszcza kiedy Konfederacja różnowierców zawiązała się, trwała jeszcze walka w Wilnie, jeszcze opornie stawali nowowiercy, jeszcze się przy Cerkwiach trzymali Grecy, jeszcze po Zborach śpiewali głośno Ewangelicy i xięgi drukowali, jeszcze bój był w całym wrzątku, a chociaż widać było jak na dłoni, kto przemoże, strona słabsza nie wyrzekała się jeszcze nadziei. Bez nadziei zwycięztwa, nié ma walki. Niesprawiedliwości przeciw Katolikom popełniane, zgwałcenie przywilejów, nadań, swobód, dodawały ducha; bo ucisk, bo krzywda, wołają o pomstę, dają otuchę pomocy Bożéj. Bóg za skrzywdzonym zawsze. Lud w Wilnie był Katolicki w części, w części Ruski — Rusini sprzyjali konfederacji — miasto więc także dzieliło się na stronnictwa. Magistrat nawet miasta był podzielony; na czele jego stał Wójt Magdeburskiéj Juryzdyki Maciéj Borzymiński, bezprawnie przez Króla miastu narzucony. Wybory urzędników w Magistracie okazywały, że i tu Jezuici wielki wpływ mieli: wy-

łącznie bowiem prawie obierano Katolików, szukano nawet praw do usunięcia całkiem różnowierców, a Greków, którym odwieczne przywileje dawały miejsce w Radzie i na Ławie, zastąpiono unitami. To było co do główněj części miasta, to jest Juryzdyki Ratuszowěj, lecz Wilno jak inne miasta, nie jeden Rząd miało, co dla niego było wielce szkodliwém. Dawniejsze nadania Biskupom, Kapitule, Mnichom, kawałków ziemi i domostw z wolnością rządzenia niémi, podzieliły miasto na nieskończoną prawie liczbę, części, z których każda osobny swój zarząd niezależny miała i inne prawa. Tak w jedném mieście było prawie miast kilka osobnemi prawy rządzonych. Ledwie na niektóre ogólne prawidla porządku godziły się juryzdyki, częściéj z sobą walcząc, aniżeli się wzajemnie wspomagając. Ztąd nieporządek największy, nadużycia bez liczby. Rzemieślnicy cechowi, mieli niebespiecznych współ - zawodników w partaczach, którzy nie należąc do cechu, pod opieką, na ziemi, w Juryzdyce Biskupa, wyroby swoje przedawali swobodnie. Wló-

częga, zbrodniarz, lękając się sądu, uciekał się do któréj z Juryzdyk, i otrzymawszy protekcję, czasem jedynie wyświadczoną mu dla dopieczenia tém nieprzyjaznéj Juryzdyce, nie mógł już być schwytany, a gdy tylko wpisał się i zamieszkał tam, pozywany i sądzony. Codzień nowe wyrastały spory, nowe zajścia. Magistrat nie miał siły przeciw wszystkim, a szlachta, Wojewodowie, Starostowie, duchowni, robili co chcieli. Oprócz Juryzdyki Ratusza głównéj, były jeszcze — Zamkowa którą rządził Wojewoda, i od niego wyznaczony Podwojewodzi, — Biskupia, Kapitulna, Mniszych kilka, Metropolitańska i t. d. Każda swemi urzędnikami rządziła się jak chciała, wybierała podatki, miała osobną Ławę i Sądy osóbnego Wójta. Żydzi byli pod prawem Statutowém i Podwojewodziém, chociaż zamieszkiwali w Juryzdyce Miejskiéj; snać dogodniéjsze im to było, gdyż się ciągle odwoływali do Statutu, a bronili od Magdeburskiego prawa.

Magistrat uslachcony przez Zygmunta Augusta, i obdarzony wielą swobodami nie miał jednak dość siły, aby się oprzeć bezprawiom.

Raz w raz uciekać się musiał do Króla, co raz nowych żebrać pomocy, a zawsze prawie bezskutecznych; ulegał wreście i milczał, kupując częstokroć pokój zamknieniem oczu na bezprawia.

Duchowieństwu, jakeśmy rzekli, przewodzili Jezuici. Od czasu ich nastania, oni byli jedni na świeczniku, a za Zygmunta III. całkowicie nim owładnąwszy, stanęli na czele Katolickiego duchowieństwa wyraźnie. Kapituła Wileńska, wprzódy jedyna obronicielka wiary, teraz zdawszy się na nich, zajmowała się tylko wewnętrznemi urządzeniami, administracją Kościoła, majątków i domów swoich. Nikogo nie było na tronie Biskupim, kilkoletnie trwało bezkrólewie. Litwini bowiem obrażeni nominacją polaka Maciejowskiego, którego list installacijny wyszedł był pod pieczęcią Kancellarji polskiej, pokładając przywileje swoje, że tylko Litwin mógł zasiadać piérwsze Biskupstwo Litewskie, oświadczyli się, że Maciejowskiego nie przyjmą i choćby przyszło broni użyć, z bronią w ręku go odepchną. Nie stawił się Maciejowski do

walki, a tak Biskupstwo wakowało; tajemnie zaś, chociaż napróżno czynione starania o przyjęcie nominata, poszły w nic; aż dopiero w roku następnym przekonany że nie przemoże stałością oporu, odstąpił od swego Maciejowski. Tym czasem duchowny zarząd diecezji Suffragan z Kapitułą utrzymywał.

Wojewodą był jeden z najsilniejszych różnowierców Krzysztof Xiąże Radziwiłł; Kasztelanem gorliwy katolik Hieronim Chodkiewicz, spokrewniony z nim, powierzchownie niby w przyjaźni; lecz w istocie związki ich stygły wspomnieniem dawnych jakichś zajść familijnych, nie było poufałości, życzliwości nawet; wzajemna nieufność i zimna grzeczność.

Taki był stan Wilna w końcu XVI wieku, a fizjonomja jego zdawała się odpowiadać obecnemu stanowi wewnętrznemu, malując dobitnie tę walkę, spory i brak jedności, które Wilnem szarpały.

Znaczne to już było miasto, przedmieścia jego po za bramami okryte licznemi domki uboższych mieszczan, podobnemi do *num* litewskich, już gdzie niegdzie zdobiły i prze-

działały bielejące, czerwieniejące mury. Na Wilji wznosił się most zielony, na Łukiszkach błyskał xiężycem meczet tatarski, stara budowa z witołdowych czasów, meczet Tatar, którym także dojmowało prześladowanie, a nikt ich nie bronił prócz nadań, bo konfederaci, jako nie Chrześcian i nieprzyjaciół chrystusowego imienia, między siebie nie przyjęli. Byliby się w opinji zabili z niewiernemi mieszając.

Miasto dzieliło się, jakeśmy mówili, na kilka juryzdyk. Główna była ratuszowa, jéj stolica Ratusz, ogromny gmach z wieżą zégarową, wieżycami bocznemi, wznosił się wpośród rynku głównego miasta, w sercu miasta, otoczony czworograonemi kramy, w których wszelkiego rodzaju towary na sprzedaż wystawiano. Tu były także jatki; tu rozwieszano jaskrawe sukna i bogate materje, przedawano żelastwo i futra i sól i skóry i wszystko co się sprzedaje, co się kupuje. W około zasiadali przekupnie, wózki rzemieślnicze, na łokciach z obuwiem szewcy, słosarze, krupnice, solecznicy, łakotnice i t. d. Bo-

gatsze kramy kupców rozsypane były po mieście; jednakże i w sklepach pod Ratuszem zamożni mieszczanie zasiadali. Pomiędzy łokciami, kramami i ciżbą handlarzy, wznosiły się po dwóch stronach Ratusza dwa przypomnienia kary i sądu, władzy Magistratu, wójtowskiego prawa miecza, pręgierz zwany pospolicie Piłatem (pilori) i szubienica. Niekiedy po pod niemi suwał się w jaskrawéj barwie płatny od miasta Kat, czyli Mistrz z pachołki swemi.

Rynek podle Ratusza napełniała wrzawą ciżba kupujących i przedających, których scisk powiększał się w ciasnych i ciemnych szyjach, służących za wejście do kram, osadzonych pilnemi na czatach złodziejami, z okiem wlepioném w taszkę nieostróżnego szlachcica, skórzane kieszenie staréj matrony, kalétę sługusa.

Pod Ratuszem jeszcze siedzieli wyrobnicy, przedzieńnicy, z piłami, siekierami, rydlami, taczkami, czekający aż ich kto do roboty najmie. Niedaleko wywieszony znak nożyc olbrzymich zwiastował postrzygalnię miejską,

przeciw któréj już stawać zaczynały pokątne współzawodnicze, chérlające, póki ich opatrzywszy się Monopolium, jednem machnięciem ręki nie zabiło. W dolnych Ratusza izbach były kramy także, sklep win miejski i skład towarów. Tu była waga i zabojnica wosku, na górze izby obrad i sądów wójtowskich, w których błogiéj pamięci Augusta portret jedyną stanowił ozdobę. Tam także znajdowały się archiwa i skarbce miejskie pod kilką zamkami, od których klucze dzwigali za pasem panowie Burmistrze. Na wieży zégarowéj wybijał godziny półzégar, a niżéj galerja żelazna przeznacona była dla muzyki, która w wielkie święta grywała dla ludu dzień i noc wesołe melodje narodowe.

W rynku mieszkali kupcy; było też kilka Cerkwi Ruskich; na lewo skromna na piętrze kamienicy staréj Piacionka, na prawo Cerkiew Sw. Mikołaja zasłoniona domostwy, niewidna z ulicy, któréj tylko wierzchołek wyglądał ku niebu. Istny obraz stanu ludzi, którzy do niéj uczęszczali. Bliżéj jeszcze był stary, opuszczony Zbór Ewangelicki. W tyle za

Ratuszem, poczynała się ulica Niemiecką zwana, kędy żydostwo na miasto się wylewało i gdzie najwięcéj widać było czarno-strojnych Izraelitów i białych spréidlów zamężnych żydowic, włokących się aż po ziemi. Tam były dwie kamienice za Ratuszem, zowiące się Raj i Piekło. Daléj wgłąb wiodła ulica, na któréj w lewo wznosiły się mury Cerkwi Stauropigjalnéj św. Ducha w Monastérem. Na prawo rozległy dom gościnny kupców ruskich i Monastér grecki także św. Trójcy, niegdyś fundacji Xiążąt Ostrogskich, wielkiego Konstantego. Po za Cerkwią św. Ducha spuszczała się wązka uliczka w przedmieścia na lewo, którą poźniéj zajęły zabudowania Xięży Karmelitów.

W ulicy Niemieckiéj równy gwar jak koło ratusza panował, a gorsze sto kroć niechlujstwo. Z otwartych na ulicę kramików i jatek wyglądały twarze pożółkłe żydów; po ścianach domostw widać było znaki zléwanych w ulicę pomyjów; trudno było przejść, trudniéj przejechać między kupami gnoju i śmiecia aż po piętra piérwsze wznoszącemi

się z obu stron. Środek ulicy zajmowało nigdy niewysychające smrodliwe błoto czarne; a boki wyłożone tarcicami, wydeptane ludźmi jezdnemi i przechodniami, z trudnością ominąć kałuże i kupy dozwalały. Domy otaczające ulice Niemiecką, także Jatkową i Szklanną, gdzie Żydzi najwięcéj mieli sklepów i w największéj liczbie mieszkali, były wysokie, czarne, brudne, często z zwieszonemi nad ulicą gankami i galerjami, na których wisiały długie rzędy bielizny mokréj, z których nielitościwie lały się na głowy przechodniów smrodliwe pomyje. Jak noc i zmierzch, nikt się tędy nie ważył iść sam jeden, każdy omijał zaułki ciemne, a mianowicie uliczki Żydami zarosłe.

Idąc od Ratusza ku Zamkowi, inny wcale był pozór miasta; i tu się świeciły, pałace obok kletek drewnianych, kościoły, cerkwie, karczmy i gospody. W ogólności czyściéj tu było i mniéj żydostwa się plątało. Tędy wlokły się ciężkie karoce i kolasy, biegali jezdni, dworzanie panów, jurgieltnicy i komornicy możnych, tędy przechodzili duchowni, któ-

rych nieraz wśród ulicy znieważał zapalony gniewem różnowierca. Tu na prawo był wielki pałac Xiążąt Ostrogskich, Chodkiewiczowski nowo restaurujący się, w czworogran zbudowany, jak wszystkie prawie ówczesne pałace, dwóma bramami otwierający się na dwie równoległe ulice. Niedaleko i w tym samym rzędzie stała cerkiew dawna Bogarodzicy, zdająca się grozić upadkiem; żółte jéj mury pokreślił czas i powalała błotem ręka nieprzyjaźnego ludu. Daléj szérzéj rozchodziła się ulica, aż do miejsca, gdzie na lewo pałac Radziwiłłowski i kościoł nowy Jezuitów się wznosiły. Ztąd ku Zamkowi postępując, małe domki kapitulnéj juryzdyki dziś nieporządne i brudne otaczały z obu stron ulicę. Czuć tu już było sąsiedztwo Zamku, po wrzawie i tłumie ludu ściskającego się w bramie Zamkowéj. Na prawo warczały i turkotały młyny królewskie, na lewo siedzieli przekupnie, przedający żywność mimo zakazów, pod samą bramą Zamkową. Tę przeszedłszy dawały się widzieć obszerne mury Zamku dolnego. Był to gmach ogromny, lecz niepię-

kny wcale; znać było po nim, że go budowały nie jedne ręce i nie jeden rok, że się złożył z Augustowych kamieni i szwedzkich Zygmunta marmurów. Dzielił się na trzy dziedzińce obszerne, całe otoczone murowanemi domostwy, do których przytykał z ogromnym wyniosłym dachem i wieżami kościoł katedralny, Zamkowy św. Stanisława, na lewo. Blizko niego oparte były puszkarnie i drobne domki puszkarzy. Tu były turmy, tu zasiadał Pan Podwojewodzi, dziedzic Zamku po Auguście! tu stolica juryzdyki Zamkowéj Wojewodzińskiéj. Po nad mury Zamkowe dolnego, na górze widać było wznoszące się gruzy okopciałe i zwaliska kościoła Św. Marcina i wieżyce Zamku górnego, dobrze nadwerężonego laty. Daléj jeszcze sterczały trzy krzyże na górze, biała wieżyca Bekieszowéj mogiły, przypominająca grób wygnańca, który na żadnym smętarzu nie znalazł przytułku, i sam jeden z Wadaszem Panończykiem spał na wysokiej górze. Od strony rzeki nad Zamkiem wznosiła się wieżyca zwana latarnią. Tędy szła droga na Antokolskie przedmieście.

Zamek niemieszkalny i prawie pusty zajmował Podwojewodzi, w części więźniowie, w części składy. Mniejszy tu był ruch i życie, bo nikt w zamku nie mieszkał od czasów Augustowskich, kiedy te mury były tak ożywione, tak świeże i wesołością tchnące! Jednakże zaludniało zamkową ulicę sąsiedztwo kościoła najbardziéj uczęszczanego i piérwszego w Wilnie, którego czarne dachy panowały nad Zamczyskiem, najeżone krzyżami.

Ulica idąca od Jezuickiego Collegium, zwana S. Duska, wiodąca do Bramy Trockiéj, mieściła liczne pałace możnych, od których nazwana została Senatorską. Na prawo nieco odlegle wznosił się w sadzie pałac Biskupi, nieopodal od Jezuickich murów, a za nim kaplica S. Krzyża. Daléj kościoł S. Ducha, a koło drzwi jego stały budki ubogich żebraków. Na przeciw nich był szpital S. Trójcy i pałac Sapieżyński széroko się rozciągający. Daléj jeszcze inne pałace ciągnęły się, a pominąwszy rozchodzące się w dwie strony i przecinające Senatorskę, ulice Niemiecką i Wileńską, spotykałeś Kościoł P.

Marji na piaskach, z obszernym klasztorem, za któremi w głębi była Brama Trocka. W niéj siedzieli pobierający opłaty pachołkowie miejscy, często kłócący się, czasem aż do bójki z przyjeżdżającemi dopuszczający się. Wszystkich niemal bram jedna była powierzchowność, osadzone wieżyczkami, z mieszkaniem o kilku oknach na górze, zamykane wrotami mocnemi, nabijanemi gwoździami, zaciągane czasem łańcuchami, jak i Most Zielony.

Ku Zielonemu Mostowi scisk i ciżba znowu były większe niż w mieście samém. Tędy bowiem szli żydzi na swoje mogiłki, tędy wwożono zboże, siano, drzewo, i t. p. od których pobieranie opłaty były powodem żwawych czasem sporów. Tędy szumnie wjeżdzała szlachta, pilnując aby się nie opłacać na moście i celnikom grożąc miną i brzęczącą szablą. Nacisk z téj strony był większy, a ciasny most, kryty z wierzchu i osadzony w środku trawnikami, ledwie wystarczył przechodniom jezdnym i pieszym. Na noc zaciągano łańcuchy. Obok mostu przewozili się niekiedy

ludzie łódkami dla wyłamania od opłaty; na nich mianowicie spostrzegałeś Żydów przewożących się z ciałami nieboszczyków na okopisko.

Tak wyglądały różne części tego miasta, w którém odbyć się ma większa część wypadków naszéj powieści. Powiedzieliśmy już że wszystka fizjonomja nawet miasta, okazywała odbywającą się w niém walkę — Stały bowiem obok Kościoły i Cerkwie, Kościoły i Meczety, Zbory i Bożnice, klatki i pałace. Żydzi mięszali się z Litwą, Litwa z Rusią, szlachta z mieszczany, duchowni i różnowiercy, Tatarzy i xięża, kupcy i panowie. — Jakże się mieli pogodzić, jak się nie było kłócić?

Nie opisaliśmy niektórych części miasta, już to, że lepiéj odmalujem je w ciągu naszéj powieści, już że w nich nic wyraźniéj odznaczającego się nie było. Wspomnim tylko jeszcze o przedmieściu Antokolskiém, po za Zamkami rozciągającym się, niebardzo wówczas zaludnioném i zabudowaném, które na prawo zdobił pałacyk Wierszupski i grodzony Zwierzyniec, na lewo kilka pałacyków.

W głębi ukazywał się drewniany kościołek S. Piotra, któren tylko krzyżykiem od domostw się odznaczał, a raczéj szopą był niż kościołem. Stał on na miejscu dzisiejszego, w cieniu ogromnych lip starych. Po za nim bielał wielki pałac Pacowski, a daléj jeszcze wspaniałe budowy Sapieżyńskie z ogrodami i znaczną liczbą drobnych domków dokoła. To przedmieście było podobno najmniej ruchliwe, najspokojniejsze. Natomiast od strony Trockiéj Bramy, od Końskiego Targu krzyku i wrzawy najwięcéj, równie jak przy Rudnickich Wrotach i Zielonym Moście. Ku Ostremu końcowi na gościńcu od Lidy, Miednickim zwanym, nie tyle już było życia. W téj stronie mieszkała największa liczba Rusi, łatwo dającéj się rozpoznać po narodowym stroju; tu snuli się brodaci Mnisi i Czerncy, Kupcy z Moskwy i Tweru. Dom ich gościnny wspomniony już, stał jakby na straży, w bliskości dwóch najcelniejszych Cerkwi i Monasterów. — W głębi miasta, po ciasnych zaułkach, niechlujstwo na wielkich ulicach niebezprzykładne, jeszcze by-

ło w wyższym stopniu. Tam zaledwie przejść, przecisnąć się, przejechać było można, za kupami gnojów i smieci, zawalającemi obie strony wrót każdéj kamienicy; ostróżność kazała oglądać się przechodniowi na galerje otaczających domów, z których nieczyste tam i sam spływały potoki. W tych uliczkach sciskała się najuboższa część ludności, już w starych murowanych domach, już w kletkach drewnianych często podpierających się pod najwspanialsze gmachy. Tu widać było nędzarzy z Bractwa Miłosierdzia, włoczęgów, łazuków, filutów, hultajów, w dziwnych ubiorach, z dziwnemi twarzami różnych krajów, tu przelatywały odarte kobiéty, nie wahające się drwić z przechodniów lub łajać ich. Tu noc bywała świadkiem scen złodziejskich i mordów potajemnych. Tu kryła się zbrodnia, rozpusta; ubóstwo i nędza często przyczyna rozpusty i zbrodni.

Na wszystkich ulicach obok rozsypanych gęsto Kramów, pod bokiem pałaców i kościołów, otwierały się drzwi wiechą nacechowanych gospód i szynków. Wszędzie ich by-

ło pełno, a łatwo je było poznać, po otaczającym drzwi tłumie, po wywieszonych w oknie miarach, po wystawionych rumianych obwarzankach i białym chlebie. U wrót porządniejszych gospód uwijali się jezdni, podróżni z końmi w ręku, szlachta drobna. Panowie rzadko lub nigdy nie zajeżdżali do gospód, mając lub swoje własne po miastach pałace, albo zawsze otwarte gościnie wrota swych powinowatych i przyjaciół. Szynki drobniejsze, z których na ulicę buchały krzyki i swary z głosem skrzypiec piszczącym lub przechodniego Tatarzyna, spiewem kobzy piskliwym — były ulubioném miejscem schadzki najniższéj klassy pospólstwa. Niektóre z nich utrzymywali żydzi. Szynkowano w nich piwo i wódkę, miód w niektórych tylko. Jedna z najporządniejszych była gospoda Posłów Moskiewskich gdzie i szynk był miejski, a gdy posłów nie było, stawali tu i sami podróżni. Inne gospody różnemi znakami odróżniały się, nazwiskami gospodarzy, różnobarwnemi wiechy i wizerunkami po okiennicach. Rozsypane były po całém mieście,

ku wygodzie podróżnych. Najpospolitszym znakiem wszelakiéj karczmy, szynku i gospody, bywała wiecha zielonéj sosniny, powiewająca na dachu lub we drzwiach. W gospodach były garkuchnie, były i osobno na ulicy Skopowéj i innych, lepsze i gorsze, pospolicie jednak ubodzy tylko w nich jedli, szlachta cokolwiek zamożniejsza, w owym wieku powszechnej gościnności, nie trudziła się stołem, któren był dla niéj w każdym domu znajomym zawsze nakryty. Miejscami schadzki publicznéj były także łaźnie, najporządniejszą z nich utrzymywało miasto. Przedawano w łaźniach trunki; tuż mieszkiwał balwierz, w którego oknie błyszczały talerzyki mosiężne.—Do niego schodzono się na gawędki, golenie głowy i bród.

Rzemieślnicy i inni, wywieszali miasto znaków, narzędzia swojego rzemiosła lub wyroby, krawiec nożyce, szewc bóty, stolarz trumnę maleńką i t. p. Szynki i wiechy najgęstsze były w miescie, i co dwa domy prawie natrafiało się na zieloną gałąź. Mniéj

ujż było daleko winiarni, przeznaczonych zamożniejszym.

Na przedmieściach po za murami, rzadko pokazywał się porządniejszy, lepiéj ubrany mieszczanin, przechodzień — tam mieszkało ubóstwo w chałupach w ziemię zapadłych, z których połowę zajmowało bydło — połowę kopcił dym czarny. Ztąd to wychodziły kobiéty odarte, mężczyzni w czarnych i szarych sukmanach z siekierą lub piłą na plecach. Ztąd na miasto co rana roznosiły mléczarki nabiał wszelaki. Tu mieszkały ubogie przekupki. Ulice, przedmieść zalegały stada bydląt i świń. — Pomiędzy chatami tam i sam rozciągały się sady i ogrody warzywne zasilające miasto, uprawiane przez ubogich Tatar po większéj części, z przedmieść Wilna i Trok, opatrujących miasto w owoce i warzywa. — Lecz dość opisu, a czas podobno zacząć powieść naszą.

II.

W kamienicy Starosty Żmudzkiego.

4**

II.

W kamienicy Starosty Żmudzkiego.

Był to wieczór, ostatnich dni roku 1599. Śnieg pokrył białym płaszczem zimy dachy kościołów i domostw Wilna, popruszył ulice, środkiem których tylko niezmar-

złe jeszcze czerniały drogi błota. Godzina gaszenia ognia wybiła i wydzwoniona była z ratusza, Pachołkowie i nocni stróże wybierali się przebiegać ulice, a jeszcze ognie błyskały prawie we wszystkich oknach kamienic i pałaców, szynki stały otworem i wrzawą pijacką odzywały się; mnóstwo ludzi włóczyło się po ulicach, gwar i życie były w mieście. Jednakże kramy pod Ratuszem, jatki i klatki dawno były zamknięte, z łokciów przechodzili się rzemieślnicy i przekupnie, targi ustały. Lud bawił się w szynkach, a panowie po pałacach, w spokojnych domach mieszczan swobodną wiedli gawędę przerywaną tylko milczeniem, gdy uderzenie do wrót kamienicy zapowiadać się zdawało stanowniczego, napadającego tak często domy mieszczan i rugującego gospodarzy dla posłów, urzędników i posłańców. Po klasztorach w chórach tylko słychać było śpiewy wieczorne. W ulicach przechodnie rzadnieli co chwila, głosy cichły, po jednemu zamykały się szynki, garkuchnie, łaźnie, gasły światła, ruch ustawał, miasto zamykało oczy błyszczące i na sen się kładło.

W bramach miejskich zaciągano łańcuchy, zamykano ogromne wrota, stawała straż nocna. Pachołkowie obchodzili z hallebardami ulice śpiewając piosnkę znajomą odwieczną:

Mospanie gospodarzu
Siódma na półzegarzu,
Strzeżcie ognia i złodzieja!

Właśnie też złodziejska poczynała się godzina i z szynków podejrzanych blizko złodziejskiego rynku wymykali się przez brudne domostwa, przemyślni oszuści, z kutemi maczugami, nasiekanemi kijami, czatując na obłąkanych po zaułkach przechodniów.

Śnieg pruszył a xiężyc wschodził. Na ulicach mimo spóźnionéj dość godziny, nie było ciemno jeszcze.

W ulicy wielkiéj, Chodkiewiczowski pałac stał ciemny, w jednem tylko okienku odtyłu, paliła się świéca żółta, któréj blask przez szklanne w ołów oprawne błony wypadał na ulicę, wrota pałacu jak i wszystkich przedniejszych domostw były już dawno pozamykane na kłódki i poprzecznemi okutemi drą-

gami zaparte. Była godzina ósma, gdy na ulicy dał się słyszeć tentent kilku koni i do wrót głównych od wielkiéj zapukano. Wrota były zaparte, furtka obok nich w grubym murze wybita, także. Kilku jezdnych okrytych płaszczami stali u wrót, a jeden zsiadłszy z konia, uparcie wołał i stukał do bramy.

— Jest tam kto? hej! Odźwierny! Wrotny! Czyście pomarli? Héj! Ozwij się tam który — héj! Słyszycie! Czy się tak wcześnie pospali, czy po szynkach piją. Sam tu wrótny!

Kilka głów pokazały się z okien przeciwległego domu przez błony i znikły; a z pałacu nic się nie ozwało, nikt znaku życia nie dał.

— Trzeba, rzekł jeden z przybyłych, obejść chyba pałac i do drugich wrót szturmować, może z tamtéj strony nie śpi kto jeszcze — Dajcie pokój stukaniu!

Po tych słowach ruszyli się mijając starą cerkiew Bogarodzicy, zwrócili w prawo na placyk i puścili się ciasną uliczką w prawo, zajeżdżając przed drugie wrota pałacu. Tu zaraz obaczyli światło w oknie, i ten sam, któ-

ry do wrót z przeciwnéj strony pukał, jął się i tu dobijać. W oświéconém oknie ukazał się cień człowieka patrzącego w ulicę, a głos dał się słyszéć.

— A kto tam?

— A kto! A kto! Godzina jak szturmujemy. Toż swoi jesteśmy. Pan Barberjusz i my słudzy Jegomości przybywamy tu za jego rozkazem.

Z okna znikł cień i słychać było dobréj nadziei gwar w środku pałacu; po czém odsuniono rygle, otworzono kłódki, ukazało się światło we wrótach przez szczeliny i podwoje ciężko skrzypły na zawiasach. Jezdni w dziedziniec się schronili, a wrota znowu jak wprzód zaparto za niémi.

Jan Karol Starosta Żmudzki właściciel pałacu nie znajdował się pod ów czas w domu, co i po cichości, a wyludnieniu jego, łatwo poznać było można. Z jego ręki przysłany, przybywał tu Barberjusz, to jest Wilhelm Barbier Francuz inżynjer, spolaczały cudzoziemiec. Z nim było kilkunastu dworzan Pana Starosty i kilku młodéj szlachty, zosta-

jących na dworze Chodkiewiczów, do ich familji zdawna przywiązanych. Z cichego jednak obejścia przyjezdnych widoczném było, że ktoś ze znakomitszych w pałacu mieszkał, choć nie sam Jan Karol. Zsiedli z koni przybyli, oddali je hajdukom i masztalerzom, a kazawszy pozdejmować tłumoczki, udali się za dozórcą pałacowym, który zszedł był z pękiem kluczów na spotkanie, a teraz prowadził ich po wschodach stromych do mieszkania im wyznaczonego na górze.

Przed niémi niosł w latarni świecę młody chłopak posługacz, za którym ciężko stąpając siwy Pan Dozorca postępował, a za nim dopiéro Pan Barberjusz i inni przyjezdni drapali się na górę.

— Czyż tu moja kwatera? spytał wreście znużony długą podróżą Francuz nieco z cudzoziemska. Tak wysoko? Dozórca obrucił się i do lisem obszytéj czapki przyłożywszy rękę, odpowiedział:

— Innego niéma, wszystkie zajęte, zamówione lub założone bronią i amunicją, albo dla przyjaciół P. Starosty pozapisywane, te

tylko wolne dla WMości, i rozumiem, że dobrze mu będzie, bo z niego cały pałac z góry widzieć można.

Stanęli wreście u drzwiczek wiodących do mieszkania, z galerji otaczającéj wystawkę piątrową, która na lewém skrzydle pałacu, jak wieżyczka lub latarnia wystawała. Tu jął do zamka probować kluczy Dozorca i wreście kute dębowe drzwi otworzył, przez które naprzód wszedł z latarnią chłopiec.

Podróżni wcisnęli się do izby piérwszéj, za którą widać było drugą i trzecią, równie jak ta ciasne i nagie. Gołe ściany białe, dokoła dębowe ławy, stoły w pośrodku, jeden piec na trzy komnatki, obszerny komin z wysoką czapką, okna w błonach ołowianych — oto wszystko, co tam znaleźli. Podłoga była z cegły. Chłód dojmował w izbach dawno nieopalanych i zamkniętych.

— Chyba nas chcesz pomrozić panie Burczak; na Boga! rzekł Francuz, ja tu nie wytrzymam nietylko nocy, ale godziny, wolę szukać gospody.

— Kiedy mówię, odpowiedział Dozorca za-

biérając się do wyjścia, że innego mieszkania niéma w całym pałacu.

— Ależ, rzekł Barberjusz, toć gdziekolwiek jest jedna choćby izba ciepła, w któréj przenocujem nim się ta ogrzeje.

— Chyba pójdziecie się ogrzać do mnie, rzekł P. Burczak, a ja tym czasem każę tu ognia zapalić i znieść wasze tłumoczki, którym zimno nie zaszkodzi.

— Najchętniéj Panie pójdziemy, rzekł drugi młodszy, bośmy djabelnie przeziębli, a do tego i głodni, tu zaś mimo głodu opętanego nie ukąsim nic, chybabyśmy ławy i stoły pozjadać chcieli.

— No! no! chodźcież WMość ze mną.

— Nigdy się człek wyspać nie może, gdérał schodząc nazad Dozorca dawszy rozkazy służbie, nigdy się wyspać na tym przeklętym obowiązku, nigdy pokoju. Czy noc czy dzień, biegaj z kluczami od wrót do wrót, od izby do izby. Temu drew, temu jadła, temu ławki, temu stoła. To trzeba na starość głowę stracić.

— Aleć niedarmo Pan Starosta, ozwał

się któryś z młodszych, obrał Jegomości na ten obowiązek, znacieście go spełniać najzdolniejsi, choć i trudny i nudny. A u Panów naszych zasługa niestracona.

—Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, odpowiedział Burczak wlokąc się po wschodach, po których w ciemności podskakiwali potykając się podróżni. Ot siwe już włosy, a jeszcze klucze noszę i jak wrótny pracuję. Jeszcze u stryja Pana Starosty miałem zasługi, a wszystko czém było, tém i jestem. Oj życie, Mosanie, życie!

—Cóż chcecie, rzekł jeden, każdy ma swego mola co go gryzie.

—I dalipan nie każdy, odmruknął Burczak prowadząc ciągle podróżnych. A ci panowie nasi, jak i Pan Starosta nie przymierzając, to sobie sami tych molów naprowadzają. Ot i teraz! Tać to jak do wojny idzie!

—Niechybnie do wojny— rzekł P. Barberjusz.

—No! a na co to wszystko?

—Co tam nam w to wchodzić Panie Burczak!

Dozorca umilkł, a tym czasem zeszli w podwórzec znowu i on powiódł ich ścieżką ku galerji drugiéj, a galerją ku swojéj izbie, w któréj widzieliśmy światło, widne z okna od ulicy. Tu wszedłszy uczuli podróżni nasi ciepło i rozbierać się poczęli. Izba P. Dozorcy niedaleko wrót od Sawiczéj ulicy położona, była wielka, z oknami na tyły dającemi; wielka bo części w niéj goście konieczną czynili obszerność. Sklepiona była, nie wysoka. Jedno okno z niéj wychodziło w ulicę, drugie z boku, mimo prawa w cudzy podwórzec. Było wprawdzie mniejsze, kraciastsze, ale zawsze w cudzą kamienicę patrzało. Milczał jednak sąsiad, dla tego zapewne, że wychodziło z pałacu Chodkiewiczowskiego. W kącie izby stało łóżko P. Burczaka, a raczéj tapczan, skórą tylko wyszarzaną niedzwiedzią pokryty, nad którym wisiał krucyfix w święcone zioła ubrany, gromnica żółta, wstążką związana, obrazek patrona jaskrawy, palma Kwietniowéj Niedzieli i szabla na kawałku makaty goździami przybitym połyskująca. Proste ławy otaczały izbę, pro-

sty stół dębowy stał wpośrodku, na nim kilka próżnych dzbanów i kubków cynowych. Na stoliku w ogromnym mosiężnym lichtarzu paliła się swiéca żółta woskowa, w kominie dogorywał ogień czerwony.

Podróżni rzucili się ogrzéwać, i opończe z siebie zwlekać zaczęli. P. Barberjusz czyli Guillaume Barbier na ich czele, był to mężczyzna wysoki, chudy, blady, cery żółtawéj, oczu, brwi i włosów ciemnych. Nosił długie włosów pukle, wąs dorodny i bródkę ostro zakończoną, która się kończyła na białéj krézie, podróżą zbrukanéj i zmiętéj. Strój jego nie był polski, miał kaftan sukienny, spodnie skórzane, bóty z ostrogami w pół łytki wywrócone, kapelusz z piórami, i rękawice łosiowe długie po łokieć prawie. Mina jego okazywała mężnego i mało o co dbającego wojaka, który wszystko wesoło znosi i z wszystkiego się śmieje, lubi winko, umizgi, pogadankę, a nie lęka się niebezpieczeństwa i nie zna namiętności głęboko ludziom dojmujących, wywracających życie z korzeniem. Zrzuciwszy płaszcz poszedł do komi-

na i zatarłszy ręce zaczął się grzać u węgli. sadzając nogi w żar prawie.

Dwaj jego towarzysze Polacy, byli to młodzi ludzie dobréj miny, oba ubrani w kuntusze i żupany, przy pałaszach, wygolone mieli czupryny, wąsy zawiesiste. Twarze ich mimo jednakiéj powierzchowności na oko, jednakiego, jeśli wolno powiedziéć, stroju, różnego wcale były wyrazu. Młodszego czoło było wysokie, oczy niebieskie, nos rzymski, wąs biały prawie, czupryna w górę, spójrzenie śmiałe, drwiące. Drugiego czoło nizkie, oko zapadłe i szare, nos niekształtny, usta szerokie, wargi grube, suknia na nim jak worek na kołku. Piérwszy zwał się Pan Sumiński, drugi P. Brożek. Oba byli dworzanami Pana Starosty i pomocnikami P. Barbier.

— A daszże nam co pić, albo i przekąsić? Rzekł Barberjusz do mruczącego zawsze P. Burczaka.

— O téj porze! A toż wszyscy śpią! Zkądże tu co WMości wziąść?

— Jużciż nie chcesz, żebym Panu Staroście

się skarżył, żeście mnie tu głodem morzyli, rzekł P. Barbier.

— A to do mnie nic nie należy, odpowiedział Burczak machając ręką, skarżcie WMość P. Marszałka Dworu, który już śpi na drugi bok, i pewnie się go nie dobudzicie, chyba jutro rano jak sam jeść zechce.

— Ależ panie dacie nam co jeść? spytał Sumiński grzecznie, musicie tu mieć zapasik w szafce?

— I nie wypiéram się, że mam i że dam, rzekł Burczak, ale jeśli dam, to nie z obowiązku uważajcie WMość, ale *proprio motu*, z łaski i dobréj woli.

— My, odpowiedział śmiejąc się Sumiński, jedną tylko mamy gębę i jeden żołądek każdy, a wszystko to nam jedno, czy one się napełnią z obowiązku, czy z łaski.

— Ale to post, Panowie.

— Cóż WMość masz w téj Almarji, spytał Barberjusz podkładając ogień.

— Co! Hm! troszkę smażonéj rybki w olcju, trochę grzaneczek z czosnkiem, dzbanusio piwka.

—No cóż robić, dobre i to—! odpowiedzieli podróżni. Jeśli wasza łaska dajcie nam tam co macie.

—I usiedli za stół, a P. Burczak z kluczami poszedł do szafy i wydobywać zaczął jadło, schowane na cynowych misach; które sam zastawiał przed przybyłemi.

Jakkolwiek mało to było, jedli jednak zapalczywie, bo byli głodni; i P. Burczak zabiérał się im do piwa dopomódz, gdy w bramę stukać znowu zaczęto, a z podwórza dał się słyszéć głos.

—Hej! Jest tam kto! hej! otwierajcie! a otworzycie czy nie!

—A toż co znowu, krzyknął Dozorca biegąc do okna. Czy nasłanie jakie, czy już Radziwiłłowie szturm do nas przypuszczają. Któż to znowu.?— Wyjrzał i nic nie mówiąc, zbiegł po wschodach, a podróżni usłyszeli po chwili znowu skrzyp wrzeciądzów i tentniące kopyta w brukowanym dziedzińcu.

—Kto to być może? rzekł Barberjusz.

—Zapytamy się gdy powróci Dozorca. Gdy tych słów domawiają, otworzyły się drzwi

izby, i wszedł ktoś wysokiéj postawy, ze szpadą u boku, ubrany po prostu, podpasany pasem rzemiennym nabijanym srébrem, w bótach wywracanych, w płaszczu ciemnym, cały osypany śniegiem.

— Już, rzekł do niego Dozorca, żadnéj izby wolnéj niéma, chyba WMość staniecie z Panem Barberjuszem.

— Wszystko mi to jedno gdzie stanę, odpowiedział z cudzoziemska przyjezdny, przywykłem często stać na dworze!

Wlepili w niego oczy wszyscy wprzódy przybyli, a P. Barberjusz posunął się ku niemu.

— Jak się macie Panie Stanisławie! Cóż to? tak prędko z podróży!

— A to wy P. Barbier! miło mi was oglądać. Nie tak że to prędko.

— Cóż was tu sprowadza?

— Co? rozkaz Pana Starosty, który mnie wyprawił, a teraz nazad pozwał dla jakiéjś potrzeby.

— A! rzekł Barberjusz, rozumiem—Waść tu po to co i my. A dalekożeś był?

— Jużem był rozpoczął podróż po za granicą, dla widzenia celniéjszych fortec i twierdz, gdy niedaleko Wiednia Austrjackiego odebrałem list Pana Starosty przywołujący mnie tu znowu, i obiecujący, że gdy tylko potrzeba ona minie do któréj mnie wzywa, wyśle mnie znowu. A kazał mi śpieszyć i śpieszyłem dobrze, prawie nie śpiąc i nie spoczywając.

— Więc obaśmy tu dla jednego, rzekł Barbier, pewnie tak!

— A cóż to jest P. Wilhelmie?

— Alboż nie wiész?

— Nic a nic? wojna jaka? wyprawa daleka! Nieprzyjaciel wkroczył?

— Najdziwniéjsza rzecz jak być może—Ale nie teraz czas i miejsce opowiadać ci, o co idzie—Siadaj no i jedz tym czasem.

Zaproszony bez ceremonji siadł do stołu.

W milczeniu posilali się podróżni, Pan Burczak tym czasem chodził mrucząc po izbie i porządkując niby rozrzucone sprzęty. Po chwili którą zajął brzęk nożów i mis, ozwał się piérwszy Pan Stanisław do Barberjusza.

— Ciekawość piecze mnie jak ogień, powiedzcież mi z łaski swéj kiedy wiecie, po co tu mnie wezwano; bo zaiste ze wszystkiego miarkuję, że to cóś ważnego być musi.

— Ważnego i bardzo, odpowiedział Francuz. Ale o tém jakbyśmy zaczęli prawić, tobyśmy i do jutra nie skończyli, a noc już późna. Jednakże sądzę żeście i po drodze słyszéć coś o tém musieli. Nic już ci nic a nic w uszy nie wpadło?

— Ale to własnie, jak mówicie; nic a nic, odpowiedział Stanisław żwawo. Wiadomo Waszmości, że Pan Starosta mój łaskawy opiekun, chcąc mnie na ludzi wyprowadzić, wysłał mnie swoim kosztem za granicę, abym się po krajach i dworach cudzoziemskich sztuki wojennéj wyuczał i świata zobaczył. Wyjechałem więc, aliści niespodzianie odbieram wezwanie, ażebym nazad śpieszył, a resztę podróży do dalszego czasu odłożył, gdyż jestem doma potrzebny. Kazał mi jeszcze Pan Starosta starać się ludzi, werbować po drodze w służbę wojenną. Z niemałym żalem rozstałem się z podróżą, i zwinąwszy tłumoczki,

nazad do kraju pośpieszyłem. W liście swym P. Starosta śpieszyć mi kazał, i tak też pędziłem, żem po drodze nikogo nie miał czasu wypytywać i nic się nie dowiedziałem. Widzę jednak ze wszystkiego, że czy nie druga wołoska wyprawa się sposobi.

— A gdzie zaś wołoska! odpowiedział Barberjusz, gorzéj niż to, dziwniéj, więcéj, bo wojna domowa!

— No! a z kimże? w Inflanciech?

— W Inflanciech! Nic by to jeszcze nie było, rzekł znowu Barberjusz, ale mówię WMości, że wojna domowa. Poczekaj że; opowiem ja ci to wszystko, czegom świadom, bo widzę że WMość jesteś, mówiąc po waszemu, jak w rogu i nic nie wiész co się dzieje. Lecz przecieżeś wprzód w kraju siedział?

— Pókim był w kraju, obce sprawy nic mnie nie zajmowały, rzekł P. Stanisław. I nie dziw: siedziałem na Jezuickich ławach, słuchając Matheseos, Retoryki i Filozofji, potémem się tułał po obozach; kędy gdzie strzelano, tam i ja prochu wąchał, a co ludzie gadali mimo uszu puszczałem.

— Trzeba tedy WMości *ab ovo* rzecz całą opowiedzieć, rzekł kiwając głową Barberjusz. Ale widzę że P. Burczak oczy klei, czas by nam do swojej izby. Pójdź no zobacz Panie Brożek co się tam dzieje.

P. Brożek zerwał się od dzbanka z którego męty i ostatki piwa zcedzał i poszedł obaczyć. Tym czasem Burczak pozabiérał misy, dzban i kubki, w szafie je poustawiał i dobywszy rożańca, zabiérał się modlić.

— Wyraźnie nas WMość wypraszasz, rzekł do niego Barberjusz.

— Boć i dawno czas już spać, rzekł stary.

Wtém wszedł Brożek i machnął ręką.

— Ani myśléć tam iść, rzekł prędko, kaci wiedzą po co; rozpalili ognia w piecu stróże i swąd zabijacki wziął się w izbach, żeby tam i koń nietylko człowiek nie wytrzymał. Nawet służba się na wschody obozować wyniosła.

— A cóż będzie? gdzie będziemy spać? zawołał Barbier.

— Gdzie sobie chcecie! odpowiedział Burczak.

— Toż nas już ztąd nie wypędzisz? dodał znowu Francuz.

P. Burczak nic nie odpowiedział.

— Żebyśmy jeszcze mieli choć dzban albo flachę wina, lub miodu Kowieńskiego, starego wreście, to by się jakoś ta noc przebyła, rzekł Francuz, ale taka już poźna noc, a jeszcze taka długa!

— Niech Jegomość Pana Burczaka poprosi, rzekł zcicha Brożek przysuwając się do ucha, żeby nam bramę otworzył. Wiém ja tu, bom swojak, gdzie niedaleko wino przedają, to pójdę ze dzbanem.

— Ależ dawno już być muszą pozamykane gospody i szynki.

— Nic to, otworzą mi oni, pewnie jeszcze nie śpią, rzekł Brożek, bo choć z Ratusza wydzwonią gaszenie ogniów, toć przecie wszędy się ognie palą.

— Jeszcze kto WMości obedrze na ulicy, pełno o téj porze hultajów się włóczy.

— O! nie bójcie się WMość, a tylko poproście P. Burczaka i zaproście go na wino.

Niech mi bramę otworzy, a ja dalipan wina znajdę.

— Wiecie co P. Burczak, ozwał się głośniéj Barbier, pokazuje się że my tu nie będziemy mieli ani gdzie, ani jak zasnąć, a wypadnie całą noc przesiedzieć. Pozwólcie niechaj Brożek pójdzie nam dzban wina przyniesie, to się z nami pospołu napijecie. Tylko mu dajcie klucza od bramy.

— Co? co? spytał stary — wina przyniesie?

— Przyniesie, powtórzył Barbier.

— A zkądże on go weźmie o téj porze?

— Spuśćcie się WMość na mnie, rzekł Brożek, natoczę pewnie najlepszego, od Malchera, z pod wiechy.

— U Malchera wcześnie zamykają.

— Już ja sobie otworzę, a WMość tylko daj mi od bramy klucza.

Stary poszukał na stoliku i wybrał jeden klucz z pęka, który odwiązał z rzemyka.

— Idźże Waszmość, rzekł, na wrota od Zamkowéj ulicy, jest tam na lewo furtka podle Bramy, naprzeciw sklepu Malchera, to

tylko przeskoczycie ulicę i będziecie pod progiem. A tylko proszęż was, zamykajcie za sobą, bo by się tu jeszcze kto wkradł, i na mnie by biéda była.

— Bądźcie WMość zupełnie spokojni, rzekł Brożek. Dajcież mi pieniędzy Półkowniku, odezwał się do Barberjusza, a WMość dzbanka pożyczcie, P. Burczak. To mówiąc poły pozakładał za pas, czapkę nasunął na uszy i skinieniem głowy pozdrowiwszy Sumińskiego, drzwi za sobą zatrzasnął.

III.

Dzban Wina.

III.

Dzban Wina.

— Dawnożem już po nocy ulic Wileńskich nie widział, rzekł do siebie wychodząc i po wschodach się tocząc w dziedziniec P. Brożek, aleć i niewiele ich

zobaczę, jeśli tylko do Malchera pójdę co przez ulicę mieszka! Dobre i to.

Znalazł się w dziedzińcu, a przeszedłszy go w szérz do bramy w zagłębieniu muru od ulicy Wielkiéj umieszczonéj, namacał po ciemku furtkę, odrzucił zaporę poprzeczną i sprobował klucza do zamka, który mu zaraz przyszedł, po czém wycisnąwszy się na ulicę, drzwi za sobą zatrzasnął, a sprobowawszy ich jeszcze, obejrzał się dopiéro na okna P. Malchera, tuż naprzeciw będące.

— Cóż za licho! wszakci ciemno u niego rzekł nie widząc światła, czyby się odzwyczaił pijaków długo w noc utrzymywać? Ale nie! To oni dla przyzwoitości od tyłu siedziéć muszą—Tak mówiąc skoczył do wrót kamienicy; przyłożył ucha i stuknął nogą raz, drugi i trzeci.

— Hej! hej! jest tam kto otwórzcie!

Ale nikt nie odpowiedział.

— Muszą odprawiać adwentowe rekollekcje, pomyślał sobie, ale przecież się ich dobudzę. I jął znowu stukać i znowu napróżno.

—A to coś osobliwszego, rzekł po chwilce, na licha osobliwszego! nu! nu!

W tém szelesnęło coś podle niego; P. Brożek który się był cały w bramę wcisnął, odwrócił się.

Po za nim stali dwaj jacyś ludzie i patrzali na niego szepcąc—dostrzegł ich łatwo Brożek i zaraz odwróciwszy się nie tracąc fantazji, rzekł.

—Ho! JMość Panowie! czy nie moglibyście mi powiedzićć, co się Malcherowi stało, że się go dobudzić nie można?

Ichmość nic nie odpowiedzieli, lecz znowu szeptali między sobą.

Mając na nich jakieś podejrzenie P. Brożek, że go chcą obedrzéć, nie sądził rozumném dłużéj do wrót stukać, żeby go z tyłu nie pochwycili, odszedł więc od bramy i poszedł daléj, z nienacka oglądając się po za siebie. Ci dwaj, których widział wprzód, zdaleka i powolnie pociągnęli się za nim. To go zastanowiło, ale jeszcze nie stracił odwagi i śmiało posunął się ulicą ku Ratuszowi, gdzie się spo-

dziewał łatwiéj dostukać pod jaką wiechę i wina kupić.

Ulice puste już były, śnieg pruszył i stróże tylko nocni wołali zdaleka, a gdzieś w oddaleniu dzwonki chorów klasztornych cicho brzęczały. Nikogo dokoła, nigdzie światła w oknach.

— Musi to być poźniéj, aniżeli mi się zdawało, rzekł P. Brożek w sobie—ale mniéjsza o to, taki téż nie powrócę z próżnemi rękoma.

To mówiąc zawrócił się w prawo ku Piacionce i obejrzawszy się w górę na kamienicę, któréj facjata wychylona na rynek z gankiem, powiéwała wiechą opruszoną śniegiem, pośpieszył do wrót. Nad spodzianie usłyszał tu głośne rozmowy pijackiéj biesiady, znajomy sobie głos, brzękanie kubkami, dzwonienie szklanek.

— Dobra nasza! rzekł, a tuć albo nigdzie wina dostanę!

To mówiąc stuknął we wrota raz i drugi wołając.

— Poczciwi ludzie, otwórzcie mi tam proszę.

Tylko co tych słów domawiał, aliści znowu postrzegł za sobą owych dwóch, niedalcko stojących, jakby czatowali na co.

— I Ichmość do gospody? spytał kłaniając się im trochę.

Jeden z nich odpowiedział.

— I my? a WMość tu po co?

— Chcę sobie wińska dostać—odpowiedział Brożek.

— Nie dostukasz się, rzekł drugi zbliżając się nieco, chyba my ci pomożem.

— Dam ja i sam rady, odpowiedział Brożek.

— O nie! mówił daléj ten co wprzód nieznajomy. Teraz byś i do dnia stukał, nikt ci nie otworzy, ale poczekaj no, niech no ja ci pomogę.

To mówiąc obcy poszedł minąwszy wrota do okiennicy, przez któréj szczeliny świeciło się, i wsunąwszy rękę w wycięte serce w pośrodku, trzy razy w szybę zapukał.

— A kto tam, zapytał głos ze środka.

— Swój, od Kardynalji—otwórzcie z ulicy.

— Zaraz—I słychać było chodzenie, stąpa-

nie, brzęk kluczów, aż wreście podniesiono drąga, furtka się uchyliła i wszedł P. Brożek naprzód dziękując wielce nieznajomym, za nim owi dwaj się zaraz wsunęli.

—Niechże WMościom za tę usługę podziękuję, rzekł, bo widzę żebym był darmo zbiegał całe miasto i zębami dzwonił pod wrotami.

—Niéma za co dziękować, odrzekł krótko jeden z nich.

Na lewo od wrót w murze grubym otwarły się drzwiczki, buchnęło z nich światło i ciepłe powietrze przesycone trunkami i jadłem. P. Brożek wszedł do sklepionéj długiéj a wązkiéj izby, przez którą był stół bejcowany na czerwono, ostawiony ławami, zakryty obruskiem grubym a poplamionym. W pośrodku stoła paliły się świéce w ciężkich mosiężnych lichtarzach przygasające. Na obrusie walały się okruchy kości, chleba, jadła wszelakiego, stały jeszcze cynowe miski próżne, dzbanki polewane i kubki cynowe i szklanne. Za stołem siedziało dwóch tylko, ale tęgo pijanych, ludzi podżyłych, którzy przez stół do siebie się pochyliwszy trącali kubkami wołając:

— Przezdrowie Waszecine! i Waścinéj żony Pani Katryny i Waścinéj godnéj dziéwki Nastazji i Waścinego domku całego. Co daj Boże!

Byli to mieszczanie w różowych humorach. Od ulicy, u okna, przy stoliczku spał oparty jeszcze jeden pijak, z czapką na uszach, którego tylko z pod ręki, na któréj się opiérał, długie konopiato-szafraniejące wąsy widać było. Ten który furtkę otwiérał gospodarz, był to człek krępy, rumiany, nizki, w pończochach wełnianych niebieskich, w szlafmycy na łbie łysym, w kaftanie wełnianym rozpuszczonym niedbale, z czerwoną twarzą i nosem jaśniejącym purpurowemi barwy. Była jeszcze jedna osoba w izbie, dziéwka brudna jak śmiecisko, stworzenie chude i brzydkie, wyżółkłe, odarte, rozespane, która wałęsając się od kąta do kąta, zbiérała miski, kubki, talerze, łyżki i wynosiła je do drugiéj izby mrucząc i ziéwając.

Ci dwaj, na których się zaraz, do światła dobrawszy, obejrzał P. Brożek, byli to ludzie gęstéj miny, uczciwie ubrani i nie wyglądający

wcale na takich, za jakich wziął ich po nocy, hultajów. To też Pan Brożek, nie w ciemię go bito, grzecznie się im i ludzko skłonił, mówiąc.

—Ale to tu garkuchnia widzę—to może ja sobie wińska nie dostanę.

—Wina nie dostanę! podchwycił gospodarz rękę z kluczami podnosząc, Wina nie dostanę! Otóż tobie masz! Albożto Waszeć nie znasz garkuchni nowéj P. Stypejki, mieszczanina i kupca miasta Wileńskiego? Dostaniesz Waszmość choćby i najprzedniejszego Kanaru! a wiele tam WMości dać?

—Ot, ten dzban. I to mówiąc P. Brożek wysunął z po za siebie dzbanisko dwugarncowe, na które głową kiwnął gospodarz.

— Chodźcie WMość za mną, rzekł, a macie czém zapłacić?

Brożek otworzył dłoń lewą i pokazał talar bity.

—Proszę za mną, dodał gospodarz — porwał lichtarz z przed pijaków i szasnął się jak opętany w głąb izby, ku drzwiom do komory wiodącym.

Poszedł za nim P. Brożek, a dwaj Ichmość zostali w pierwszej izbie.

Gospodarz wwiódł go naprzód do ciemnej komory, w której był niepospolity nieład, jak to widzieć było można przy blasku dogorywającej u ściany świeczki. Stały tu balje, kociołki, beczki próżne, butle wielkie, misy, wisiały obrusy, walały się miotły, a na kupie bielizny i różnego rodzaju ruchomości, włócząca się tylko co sługa, zakrywszy twarz fartuchem, wyciągnięta, chrapała. Ztąd wyszli z gospodarzem do sionek.

Za pozwoleniem WMości, rzekł P. Stypejko, pójdę tylko wezmę klucze od piwnicy.

— Ale się WMość na miły Bóg nie baw, a mnie tu po ciemku nie zostawiaj.

— Ja WMości świécę porzucę, rzekł gospodarz, i pośpieszył na lewo do drzwi, które na wpół szklanne były i przez które widzieć było można, przy świetle wewnątrz palącej się lampy przed obrazem N. Panny, porządniejszą izbę, a kotarę za firankami w kwiaty i różny sprzęt i ochędóstwo kobiéce, pozawieszane i porozrzucane w nieładzie.

Gdy drzwi otworzył gospodarz, słychać było chwilę gadanie, brzęk kluczy, potém wyszedł P. Stypejko wziąwszy już na się kubrak zielony i odebrawszy lichtarz z rąk P. Brożka, powiódł go korytarzem daléj w głąb, ku drzwiom piwnicznym.

Gdy P. Brożek czeka na wino, my powróćmy do piérwszéj izby, w któréj dwaj nieznajomi zostali.

Byli to, jakeśmy rzekli, ludzie młodzi uczciwie ubrani, i jak widać było po ruchu i minie, zapewne pana jakiegoś domownicy, dworzanie, bo jednostajną, ciemną mieli barwę, którą kryli dostatniemi opończami oba. Zdjęli oni czapki z głowy i usiedli pod oknami od ulicy, na ławce, przeciw śpiącego mieszczanina.

—No cóż myślisz, rzekł jeden, mamyż co przedsięwziąść?

— Śliska to rzecz, odpowiedział drugi, trzeba by się nad tém wprzód zastanowić.

—Ale póki my się zastanawiać będziem, tym czasem nam ten chłopiec uciecze. No! jak ci się zdaje?

— On ma klucz od furtki, rzekł drugi, a nam by się on przydał. Wojewodzic dobrze by zapłacił zań, mybyśmy z nim do Chodkiewiczowskiéj kamienicy łatwiejszy przystęp mieli i kommunikację z pannami służebnemi xiężnéj młodéj, które choćby co i chciały dopomódz, to nie mogą, bo ich za się strzegą pilnie.

— Ale jakże tego klucza dostać, rzekł drugi.

— Jużciż, kończył tamten, ja nie mówię ani radzę, aby go gwałtem wydziérać, ale czy nie byłoby jakiego sposobu lekkiego na tego młokosa?

— Jakiegoż myślicie?

— Nie inny, tylko by go myślę dobrze spoić, rzekł piérwszy znowu, odkraść mu go i wycisnąć — Słyszałem, że tak kluczów dobiérają złodzieje.

— A śliczny by na nas pozór był — odpowiedział drugi; na Boga, a toć by to szubienicą pachło!

— A ktoby nam tego dowiódł? A potém, alboż my to dla złego robim?

—I klucz, jak myślę, nie na wiele by się co przydał, boć oni, jak wszędzie, drągiem jeszcze z tamtéj strony drzwi zakładają. Możeby się znalazł ktoby nam drąga otworzył, byle klucz od furtki był.

— Prawda i to.

— Obaczym no jak powróci ten młokos, czy go spoić można, możebyśmy się od niego dowiedzieli co jeszcze, Panie Adamie.

Gdy tych słów domawiają, wszedł do izby zachylając dzban połą Brożek, i miał się ku drzwiom drugim, gdy jeden z nieznajomych go zaczepił.

— WMość, jak widzę, niesiecie kędyś wino? a niechcieliżbyście skosztować go z nami kubeczek?

— Dziękuję WMościom za uczciwość, odpowiedział kłaniając się Brożek, któremu ślinka po brodzie ciekła na wspomnienie kubka; radbym z niémi pił, ale niémam czasu, bo tam na mnie w Chodkiewiczowskiéj kamienicy czekają.

— Co tam, chwilka, rzekł piérwszy gospodarzowi znak dając, aby przyniósł I my czasu

nie mamy także długo tu siedzieć, bośmy wysłani podobnie i powracać potrzeba, ale na ten chłód trudno żeby sobie człowiek choć kubeczkiem nie rozgrzał żołądka.

—No, no, jak już WMość chcecie, odpowiedział Brożek siadając, a dzban pod stołem stawiąc, to się i napijmy. Powiem P. Barberjuszowi, żem długo musiał się włóczyć, za nim wina dostałem—Niechże sobie czekają.

—Ale, rzekł po chwili, teraz WMościów lepiéj przy świetle widzę, aliście mnie tęgo przed Malcherem napędzili strachu; bałem się, by nie jacy, z przeproszeniem, hultaje, co ich o téj porze pełne ulice.

—To prawda że się teraz około północka, nie warto z domu wychylać, podchwycił drugi nieznajomy, ale rzadko się trafi, żeby na przedniejszéj ulicy kogo napadli z podle Ratusza, gdzie straż pilne ma oko—Prędzéj pałką w łeb dostanie na ubocznych zaułkach.

Wtém podał gospodarz flaszę i trzy kubki. Starszy nieznajomy przepił pełną do Brożka, który mu podobnież odpowiedział, a ocierając gęby, szepnął.

— Tęgie jakieś wińsko, boję się, żeby mi głowy nie zamęciło.

— Słabiuteńkie, jakem Stypejko! przerwał gospodarz, można go pić gdyby wodę! Tak to ono sobie piecze, ale to uczciwe żołądkowe, do głowy nie idzie.

— A no, na drugą nogę, rzekł nieznajomy i przepił.

P. Brożek mu znów odpowiedział.

— A no, do Trójcy, rzekł śmiejąc się drugi.

Na te słowa pobladł P. Brożek, jakby go węch heretyka zaleciał i rzekł:

— Co to WMość o Trójcy Najświętszéj przy kubku spominacie, alboście to, z przeproszeniem, z konfederacji.

— Nie—nie—rzekł poglądając na towarzysza nieznajomy—nie—nie—Tak się to wyśliznęło z gorącości. Znacie WMość przysłowie. *Omne trinum perfectum.*

I przepili znowu do siebie, kłaniając się jeden drugiemu. Wtém zaczął starszy.

— Toście to WMość z Chodkiewiczowskiéj kamienicy?

— A tak, odpowiedział Brożek, przybyłem tu ono co dziś z P. Barberjuszem, który tu będzie fortecę w kamienicy robił, czy coś.

— Toż to po co? rzekł drugi.

— Kto to wié! mruczał Brożek, na kogo to się Pan Starosta gotuje.

Nieznajomi spójrzeli po sobie, Brożek obracał oczyma na wszystkie strony i przecierał je ręką, czując że mu wino po głowie chodzić zaczynało.

— Toście WMość dziś przybyli. Alec tam ktoś więcéj jeszcze pono?

— A! to P. Stanisław przybył z za granicy P. Barberjuszowi pomagać około téj roboty.

— Co to za Stanisław?

— Wychowanek P. Starosty, którego na wojaka sposobi, i posyłał go był uczyć się za granicę téj tam mądrości obozowéj.

Brożek mówił a czuł że go coś jakby siatką zawiesiło, i ująwszy za dzban stojący pod ławą, począł wstawać powoli.

— Trzeba mi powracać, boć się coś zdaje, jak gdybym się upił.

— Tak to się tylko zdaje, rzekł nieznajomy; jeszcze musim do pary wypić po kubeczku. I znowu przepił, a gdy to uczynił i P. Brożek przez uczciwość trzymał się na nogach jak mógł, czekając aż mu pełną podadzą; drugi się przysunął do niego, lekko rękę w kieszeń jego puścił, dobył klucza od furtki, odwrócił się żwawo i wybiegł do komory.

— Co to WMości? rzekł odwracając się Brożek?

— Krew mi się nosem puściła, odpowiedział wychodzący i poszedł do alkierza. Tym czasem drugi zabawiał Brożka jak mógł, przepijając do niego póki w flaszy stało, a choć posłany niby to kwapił się nazad i lękał się niezmiernie upicia, jednak na widok kubka, różne sobie czynił reflexje i perswazje, zawsze wiodące do spełnienia go. Tak perswadując i dodając sobie ducha a odwagi, dobrze podpił. Wyszedł po chwilce z alkierza ocierając nosa towarzysz, i ściskając a żegnając Brożka, nazad mu klucz wcisnął w kieszeń.

— Jeśli będziecie mieli czas wybiedz ju-

tro, rzekł do niego, przyjdźcie do Malchera, to się znowu razem trochę napijem.

— Z całego serca, odpowiedział rozczulony Brożek zataczając się i wylewając wino ze dzbana, który niósł pod połą. Aliście mnie Panowie tak spoili, że teraz nie wiém już, jak nazad do Chodkiewiczowskiéj kamienicy trafię, choć to nie pierszyna mi po ulicach po nocku się włóczyć.

— My w jedną idziem z Wami drogę, rzekli nieznajomi—Chodź nam otwórz Panie Stypejko. Wyszli więc do wrót, które im gospodarz odemknął żegnając ich. Znaleźli się znowu w ulicy.

Tu obejrzawszy się a świéżém powietrzem odetchnąwszy Brożek, uczuł dopiéro cały zamęt, jaki w głowie jego panował i zdało mu się jakby wszystko kręciło się i szumiało wkoło niego. Ledwie przed sobą rozpoznać mógł Ratusz na prawo, i kierując się od niego, poszedł w lewo ku Zamkowi nazad. Dwaj towarzysze pytali go jeszcze o wiele rzeczy po drodze, na które on, o ile mu przytomność umysłu dozwalała, odpowiadał, nie zastana-

wiając się wcale nad tém, dla czego tak pilnie go wybadywano, i jaki w tém mieli interes nieznajomi, którzy ze swojéj strony nie powiedzieli mu nawet co byli za jedni. Nareście żegnając się z nim pokazali mu furtkę, a poseł nasz z wielką trudnością odemknął ją i zamknął nazad; drąga już założyć nie mógł. Błądził potém po całym dziedzińcu, nim trafił na schodki wiodące do mieszkania P. Burczaka, i gdy drzwi jego otworzył, zastał P. Barbier chodzącego po izbie, Dozorcę w największéj niespokojności o powierzony klucz, a P. Stanisława śpiącego nad stołem.

Wszedł raźnie i jak mógł na nogach się utrzymywał, stawiąc dzban w pośrodku stoła; P. Barbier jednak postrzegł zmianę w jego twarzy i domyślił się części przygód.

—Jużeś ty sobie zalał w czubek—Brożku, rzekł.

—Kto? ja? odpowiedział niezmięszany, ja? A to czysta napaść, bo prócz śniegu, nic nie miałem w gębie.

—Dawaj klucz, gdzie klucz! przerwał Burczak—coś się tak długo bawił?

—Co? wszystko było pozamykano—mało mnie hultaje nie odarli, ledwo żywy wróciłem.

—Alboż cię kto napastował?

—I jak napastowali, odpowiedział Brożek oddając resztę pieniędzy szelążkami fałszywemi, ledwiem się wywinął.

To mówiąc, odstąpił od stołu i okrutnie się zatoczył.

—O! i tak się zataczasz! zawołał Barbier.

—Bo mnie któryś w głowę czekanem palnął.

—Gdzie? gdzie? pokaż! pochwycili wszyscy razem biegnąc ku niemu, aż się i Stanisław ocknął i obejrzał.

—Jest wino, rzekł do niego P. Barbier, ale nasz nieszczęśliwy poseł po łbie za to oberwał!

I szukali wszyscy po głowie, ale P. Brożek zasłaniając się i udając że go mocno boli, umknął do drugiej izby, podesłał sobie płaszcza i położył się na nim spać—Tym czasem dobyto kubki, zaproszono P. Burczaka, który różaniec złożył i ochotniejszy za stół siadł.

— Mieliście mi WMość powiedziéć, odezwał się P. Stanisław, co się tu u was dzieje, i co to za wojna domowa ma się rozpocząć. Otoż przypominam obietnice, bo wino język rozwiąże i ochoty do gawędy doda.

— A i ja, rzekł z cicha Burczak, nie jedno wiém i dorzucić mogę, kiedyście ciekawi.

Barbier, jako fundator wina, piérwszy nalał kubek, i przepił do Burczaka, Burczak do P. Stanisława, w kolej znowu do P. Sumińskiego, po czém zasiedli każdy nad pełnym kubkiem i poczęła się następująca rozmowa



IV.

Radziwiłłowie i Chodkiewicze.

IV.

Radziwiłłowie i Chodkiewicze.

— Trzeba WMości wiedzieć, rzekł P. Barbier smakując wina, że nasz P. Starosta i cała familja Chodkiewiczowska spokrewniona z Radziwiłłami nie od dzisiaj;

chociaż przeto nie w najlepszéj z niémi zgodzie.

— Tak, tak, przerwał Burczak, zrosłem ja i schowałem się w tym domu, to najlepiéj wiém wszystkie ich kolligacje. Bo naprzód stryj JMPana Starosty nieboszczyk Jerzy Starosta Żmudzki miał za sobą Wojewodziankę Nowogrodzką Radziwiłłównę, a rodził się sam z Xiężnéj Olelkowiczównéj Słuckiéj, co też go kolligaciło z Radziwiłłami. On też najchętniéjszy był Radziwiłłom, choć my wszyscy mówili że z tego jakieś licho wyrośnie, a Orzeł się z gryfem podrapią.

A potrzeba WMości wiedzieć, że Olelkowicze też Radziwiłłom krewni i Chodkiewiczom.

— I toć to jabłkiem niezgody między niémi ci Olelkowicze.

— A więc to z Radziwiłłami sprawa? spytał P. Stanisław.

— Nie z kim innym, odpowiedział Francuz, ale słuchaj no tylko, wiele się jeszcze rzeczy dowiesz dziwnych.

— Pozwólcie naprzód, abym powiedział

o onych koligacjach, bo bez tego nic nie zrozumie, zawołał Burczak — Otoż mówiłem, że Radziwiłłowie skolligaceni są z Chodkiewiczami, a obie te familje z Olelkowiczami Słuckiemi. A to tak: Nieboszczyk Stryj Pana Starosty teraźniéjszego Jerzy, także Starosta Żmudzki rodzi się z Zofji Olelkowiczównéj Xiężnéj Słuckiéj; a ta Zofja była siostrą Xięcia Symona, ojca JMXięcia Jerzego, który jest ojcem Jéjmości naszéj Zofji Jurjewiczównéj Olelkowiczównéj Xiężnéj Słuckiéj — Zatém jasno WM. widzicie, że P. Jerzy był Stryjem naszéj Panny. A trzeba wam wiedziéć, że to był Pan pobożny i cnotliwy; świéć Panie duszy jego—Pan Starosta Żmudzki. Lat temu pięć wszyscyśmy płakali na jego pogrzebie w Brzostowicy, i ja niemałom łez wylał, bo mi bardzo świadczył i zawsze o mnie pamiętał. Ależ to WMość tego jeszcze nie widzisz, jakie tu pokrewieństwo Radziwiłłów z Olelkowiczami, a to ja Wam zaraz powiém. Bo teraźniéjszy Pan Wojewoda Wileński (Radziwiłł), z którego rodzi się Xiąże Janusz, miał za sobą córkę Xięcia JM. Konstantego

Bazylego Ostrogskiego Wojewody Kijowskiego, która rodzi się z Alexandry Olelkowiczownéj Słuckiéj. Otoż to pokrewieństwo.

— Ale rozumiém, rzekł P. Barbier, iż cała ta Genealogja nie objaśni wcale P. Stanisława, co do teraźniéjszych waśni, o którychby się rad dowiedziéć; a zatém ja do swojego wracam, że Chodkiewicze z Radziwiłłami spokrewnieni, i nie w lepszéj przeto zgodzie. Jednakże nieboszczyk Jerzy Starosta Żmudzki, godził się jako tako z teściem swym P. Wojewodą Nowogródzkim, a przez niego skolligaconym będąc i z Xięciem Wojewodą teraźniejszym, w jego domu bywał, i dość się dobrém okiem na się patrzali. Tylko za się lepszéj przyjaźni między niémi tamę różnica religji kładła; bo JM. Jerzy nieboszczyk Starosta Żmudzki był bardzo pobożny i gorliwy Katolik, a Wojewoda, jak wiadomo, jest heretyk, i z różnowiercami trzyma, i świéżo się do konfederacji pisał z XX. Ostrogskiemi i innemi z Rusi Panami. Wszelakoż przystojnie z sobą żyli. Tym czasem, dawno to już, umarł ojciec Xiężnéj młodéj naszéj Zofji Słuc-

kiéj, jak wiadomo jeszcze w r. 1585 i powierzył opiekę jéj testamentem JMPanu Jerzemu Chodkiewiczowi.

— Ostatnia to dziedziczka, dodał Burczak téj zacnéj famjlji, która miała swoje miejsce w senacie po JM. Xiędzu Biskupie Wileńskim. I bogate ma wiano, bo Xięztwo Słuckie i Kopylskie.

— Gdy się to dzieje, a Xżna Zofja dostaje się w opiekę Panu Jerzemu Staroście Żmudzkiemu, Radziwiłłowie poczęli koło niego chodzić, myśląc, jakby go sobie zapewnić, żeby X. Zofja i jéj dobra, w ich dom weszły. Jakoż poczęli tak dobrze głaskać tego zacnego P. Starostę Żmudzkiego, że w r. 1594, prawie na rok przed jego śmiercią, zapewnili sobie zupełnie X. Zofję dla Xięcia Janusza Radziwiłła, syna Pana Wojewody teraźniéjszego z Xiężnéj Ostrogskiéj spłodzonego.

— Jakże się to stać mogło? spytał Pan Stanisław.

— Jak? odpowiedział P. Burczak nastawując kubka, oto ja najlepiéj powiém, bom tego wszystkiego był świadkiem. Działo się

to w Brzostowicy, kędy P. Starosta nieboszczyk przebywał fundowawszy tam wspaniały kościół i na modlitwie cały czas trawiąc, bo przed śmiercią na kilka lat, dzień w dzień na xiążce kapłańskie godziny odmawiał, a ludzi bardzo mało widywał, tak był w nabożeństwie zatopiony cały. Od kilku już czasów chodziło po głowie Radziwiłłom upewnić się, że będą mieli Xżnę Zofję, która na ówczas (było to w r. 1594) dopiero dziesiątek lat liczyła, prawie dziécko jeszcze. Chodzili więc koło Pana Starosty bardzo, a pochlebiali mu się; boć żaden z Chodkiewiczów o zamężciu z bogatą dziedziczką nie myślał dla blizkiego pokrewieństwa, z którego choćby ich pewnie Papież rozwiązał za prośbą Króla JMości, łaskawego na PP. Chodkiewiczów, ale oni tego nie chcieli, znając w tém niebłogosławieństwo Boże, kiedy jak Żydzi łączą się Chrześcjanie w blizkich stopniach — Otoż tedy. —

— Ale WMość coś bardzo obszernie zaczynasz — rzekł Barbier.

— Nic to, nic, nikt w szyję nie pędzi, a

lepiéj trafię do końca, odpowiedział Burczak, bądźcie tylko Jchmość cierpliwi. Otoż, com mówił?

—Że się starali o Xiężnę dla Janusza.

—Ba, tak. Starali się oni i chodzili dobrze około P. Starosty, aż P. Starosta, aby się od tego natręctwa uwolnić, słowo swoje szlacheckie dał, że skoro sama Xiężna zechce, doszedłszy lat, wyda ją za Xięcia Janusza. Ale nie dość było tego słowa Panu Wojewodzie Radziwiłłowi, który się chciał upewnić mocno w tém, że syn jego mieć będzie owe Xięztwa Słuckie i Kopylskie. Jakoż, pomnę, byłem naówczas w Brzostowicy i właśnieśmy do kościoła byli poszli na nieszpór wszyscy, a było to, jak dziś pamiętam, w Sobotę przed Niedzielą Przewodną; nadbiegł za nami pachołek ode dworu, oznajmując, iż przybył jurgieltnik konny Xięcia Wojewody, dający znać, że i on zaraz jedzie. Poszedł JMPan Marszałek do ławki Pana Starosty oznajmić o gościu, ale mu Starosta nieboszczyk odpowiedział surowo.—Idź Wasze przyjmuj, a u mnie piérwszy P. Bóg,

niż wszyscy w świecie Xiążęta, ba i Królowie. Jak skończy się nieszpór, to i ja na Zamek wrócę. A tak słuchał do końca nieszporu Pan Starosta, po czém wróciliśmy na Zamek, gdzie już stały kolasy i konie Pana Wojewody i liczny jego poczet. Powitali się uczciwie i grzecznie i była tam uczta niemała, a i ludzi przyjęto dobrze, bo i beczki wytoczyli dla nich i stół do sytości stał cały boży dzień zastawny, przy którym, jak dziś pomnę, ja sam gospodarzyłem czeladzi Wojewodzińskiéj. Aż potém posłyszeliśmy na dworze, że P. Wojewoda, po jakieś zapisy do Starosty przyjechał.

Był z nim syn młody Xiąże Janusz, uczciwe Panię i hojne, ale mu się, jak i dziś duma wielka z oczów patrzyła, że do nikogo poczciwego słowa nie rzekł, a wszystkich leda co, z djabłami posyłał. Byli tam i inni panowie i Bratanek Pana Wojewody, Xiąże Starosta Mozyrski i wielu innych przyjaciół. Jak jęli tam znowu chodzić koło P. Starosty, a obietnicami wielkiemi przyjaźni stałéj i koligacji go łudzić, tak wreście nazajutrześmy

się dowiedzieli, że już Xiężna Zofja Xięciu Januszowi na piśmie przyrzeczona za obligiem.

—Jakto za obligiem? spytał P. Stanisław.

—Bo Pan Starosta dał skrypt Panu Wojewodzie pod zakładem wielkiéj summy, że jak Xiężna do lat dójdzie, i sama zechce, mają ją wydać koniecznie za Xięcia Janusza, a nie to Starosta zapłaci wielki zakład. Ja nie wiém po co to się Starosta tak opisał, ale kiedy zaczęli go tam prosić, a namawiać, a zaklinać na braterską przyjaźń, trudno się im było oprzéć. Potém były jeszcze w Brzostowicy wielkie traktamenta i wiwaty, wiele tam wina wypili, za nim się rozjechali. A P. Starosta rad był, że się ich zbył z domu i kazał po tych heretykach izby czyścić i święcić na nowo, jak po zarażonych.

—Od téj pory, podchwycił Barbier, choć Xiężna była jeszcze dziéckiem, począł do niéj jeździć Xiąże Janusz, a posyłać podarki, aby jéj przyjaźń pozyskać sobie; Xiąże Wojewoda też ojciec jego raz w raz o nią się dowiadywał, aż P. Staroście, choć to był cierpli-

wy i cnotliwy Pan, nie w smak to poszło takie nadskakiwanie natrętne, i nie raz mawiał.— Oj źlem zrobił źle, żem im dał zapisy, ale co ma być to będzie, bo się już stało. A słowo dane, powinno być dotrzymane.

Tym czasem umiéra nasz Starosta.

— A! niech mu wiekuista światłość świéci, zawołał Burczak wzdychając i podnosząc ręce. Pan to był Pan jakich mało i ludziom i Bogu miły, a żywéj duszy nie najdziesz, żeby się na niego kto poskarżył.

— Po jego śmierci, która zaszła w Brzostowicy w Czerwcu 1595 r. temu lat cztéry skończyło się tego roku, a piątego już połowa, ruszyli się Panowie Radziwiłłowie mocno, nie wiedząc co sobie począc i jak tu znowu porwane rzeczy powiązać, bo opieka Xiężnéj spadła była na brata nieboszczyka Starosty Pana Hieronyma Kasztellana Wileńskiego, Starostę Brzeskiego; który nietyle sprzyjał Radziwiłłom, co nieboszczyk. Kasztellan dowiedziawszy się o śmierci brata, pośpieszył wrychle do Brzostowicy, bo na niego z pogrzebem czekano, który nie prędko sprawio-

no, bo żądali PP. Chodkiewicze bardzo wspaniale wystąpić i nieboszczyka uczcić. Jakoż było tam na nim niemało ludzi znacznych z PP. Senatorów i duchowieństwa i prawiono mowy; osobliwie zaś Xiądz Brant Jezuita dziwnie miał piękną, któréj się wszyscy dziwowali, a podobno i do druku podana została przez Akademję Jezuicką tutejszą. Ale to było w Październiku, a owo nim jeszcze do pogrzebu przyszło, to już Panowie Radziwiłłowie wszkomo dla pogrzebu (choć heretycy byli), a w istocie dla ponowienia umowy pośpieszyli za P. Kasztellanem Wileńskim.

— Byłem ci i ja tam, znowu przerwał Burczak, bośmy około ciała nieboszczyka i Dobrodzieja naszego płakali jeszcze, czekając pogrzebu, gdy PP. Radziwiłłowie *in magno comitatu* Panów zacnych i urzędników zajechali na Zamek. Piérwszego dnia nic nie mówili szanując i żal JMPana Kasztellana i pamięć Starosty nieboszczyka; ale nazajutrz jakoś już o zapisach przebąkiwać zaczęto i o odnowienie ich prosić a naglić, zaklinając na kolligację i stosunki przyjazne, zdawna nie-

przerwane między familjami. Opiérał się w początku P. Kasztellan mówiąc, że dostateczna będzie ta piérwsza z bratem umowa, ale PP. Radziwiłłowie obstawali przy ponowieniu jéj za obligiem, aby byli pewniéjsi swego. Zapomniałem WMościom powiedziéć, że P. Kasztellan Wileński do piérwszéj umowy z Radziwiłłami za pieczętarza się pisał, i to go teraz wiązało, że do nowéj przystąpić prawie musiał, gdy na niego ta opieka spadła. Jakoż po długich ceremonjach spisali nowy akt, gdzie Pan Andrzéj Jundziłł Marszałek J. K. Mości pióro trzymał i wyspecyfikował więcéj niż w piérwszym, a to za namową i podżeganiem Xięcia Alexandra Hołowczyńskiego Rusina, który wielce domowi Xiążąt Radziwiłłów sprzyjał i z niémi był przyjechał, a także PP. Jana Tryzny i Strabowskiego Piotra Starosty Trzejdeńskiego. W tym nowym akcie stało, jak powszechna fama niosła, że P. Kasztellan Wileński opisał się oddać Xiężnę młodą, za żonę Xięciu Januszowi, gdy dójdzie lat piętnastu, a to w Wilnie, w tutejszéj oto, gdzie siedziémy teraz, ka-

mienicy, w dniu szóstym Lutego r. 1600, byleby ona sama tego dobrowolnie chciała i temu się nie przeciwiła. Radziwiłłowie zaś pewni byli zezwolenia, ba wielkiéj radości Xiężnéj, bo od roku już naówczas nad pozyskaniem jéj affektu sobie pracowali. Ale się obawiali bardzo aby im kto cichaczem nie psuł, a mianowicie z naszym P. Starostą nie będąc dobrze i dawne tam jakieś familijne pamiętając zatargi, obawiali się, aby on P. Kasztellana nie bałamucił, a może też i na innych mieli podejrzenia, bo wiele dziedziców zacnych i przednich domów litewskich starało się o dożywotnią przyjaźń Xiężnéj u PP. Chodkiewiczów. To też wcześnie zabiegając temu JMP. Wojewoda, dopisał w téj umowie powtórnéj pod zakładem zawartéj, że P. Kasztellan żadnych zmów potajemnych na przeszkodę czynić niéma, pod zakładem tysiąca kop litewskich.— Ogromnéj dalipan summy!

Aliści niebaczny P. Kasztelan na taką umowę zezwolił i oną podpisał, po czém już nawet pogrzebu nie doczekawszy się wyjechali Radziwiłłowie z Brzostowicy radzi i weseli,

że się im złapać Chodkiewiczów udało. A Xiąże Janusz z naprawy ojca swego Wojewody jął dopieroż co najsilniéj o Xiężnéj fawor i łaskę starać się, u niéj bywać, podarki słać, i ją sobie ujmować — Ludzie mówili i mówią, że mu bardzo skłonna była— i jest podobno dotąd.

To było w r. 1595, jakem powiadał WMości, a Xiąże Janusz ciągle się starał o Xiężnę aż po rok przeszły podobno, a ona wzrastała pięknie — Widzieliście ją kiedy?

— Nie — nigdy — odpowiedział P. Stanisław, wiécie żem się ja po obozach tułał więcéj, niż po dworach siedział — Xiężnéj zaś nie zdarzyło mi się widziéć, która przesiaduje w Grodku, Brzostowicy, albo w Wilnie tu u was — i pod Bernardynami u Kasztellana. A jam tu jak nie był prawie.

— Teraz już mieszka w naszéj kamienicy, rzekł Burczak i z ochmistrzynią Panią Włodską, z fraucymerem prawie królewskim, tak liczny i dobrany z uczciwych szlacheckich panien. Jeśliście jéj nie widzieli, wielka szkoda; miło na nią, jak na malowanie kościel-

ne z uszanowaniem popatrzyć. Byleście tu póty byli, zdarzy się wam pewnie ją zobaczyć. Spójrzawszy na nią, nigdybyście nie rzekli, że to kobiéta wychowana w wygodach wszelakich i dostatku, a raczéj słaba niewiasta jaka uboga, bo zdaje się patrząc na nią, że ją wiater wionąwszy z nóg obali, tak wątła i słaba i smukła. Twarz to ma jużci piękną, choć czegoś bardzo smutną, jakby nazajutrz po płaczu, albo w wigilję wielkiéj boleści — Człek na nią popatrzy, to mu się koło serca zwija, jakby się także na łzy (nie wiedziéć czego) zbiérało. Nigdym nie widział jéj jeszcze śmiejącéj się, chyba Xiąże Janusz się pokaże; wówczas zda się ożyje Xiężna, oczy jéj zaświécą i rumieniec na lice wejdzie. I on też, czy kłamie, czy prawda, że się do niéj przywiązał, (bo heretykowi nie wierzyć), ale zda się mocnym ją miłować affektem, serdecznie ją kochać; ba co większa we wszystkiém jéj prawie słucha.

— Lecześmy jeszcze WMości wiele rzeczy opuścili, rzekł Barbier dolewając. Trzeba ci wiedziéć, że JM. X. Radziwiłł po żonie

swojéj Ostrogskiéj wziął pod Orszą dobra znaczne, zdawna summą obciążone za Zygmunta Augusta, a w Chodkiewiczów domu będące zastawą w piąci tysięcach złotych.

Nie wiém co za zły duch podszepnął Xięciu Radziwiłłowi Wojewodzie, żeby tych dóbr na Chodkiewiczach prawem dochodzić. Jakoż dobrze się zdumieli Chodkiewicze wszyscy, gdy po owych w Brzostowicy zaklęciach i ofiarowanéj przyjaźni wiekuistéj, w lat parę odebrali pozwy w téj sprawie. Wielki to był hałas i krzyk na Radziwiłłów i na tém się owe związki przyjaźni całkiem rozerwały. Sroga zajęła się nienawiść z obu stron, tak, że nawet widywać się przestano i na P. Wojewodę straszne krzyki P. Alexander z P. Starostą naszym wzniecili. Bronili się w sprawie, ale odgrażając się na Radziwiłłów, że się im Kopysia owych dóbr pomszczą na Xiężnie Zofji. Jakoż odtąd jęli się starać jakby owe projektowane małżeństwo rozerwać. I niedługo po tamtych pozwach o Kopyś, nasz P. Starosta z bratem Alexandrem pojechali do Brzostowicy, gdzie przebywał stryj ich, opiekun

Xiężnéj, P. Kasztellan Wileński. Niebyłeśże i tam znowu? spytał w końcu Barbier Pana Burczaka, który dość cierpliwie słuchał.

— Nie, nie byłem, ale dobrze wiém o tém, odpowiedział Burczak ożywiając się — przyjechali do stryja z wielkim żalem i lamenty, że on z Radziwiłłami się wiązał, którzy na zgubę ich familji dążyli i kroili, przed sądy ich pozywając, pieniając, dobra im chcąc odbiérać.

Poruszyli tém P. Kasztellana tak, że i on zdjęty żalem, razem z niémi jął na PP. Radziwiłłów wyrzekać a odgrażać się. Wystawili mu bowiem, jako owe umowy z niémi były nawet prawu przeciwne, bo Xiąże Janusz z Xiężną Zofją byli w blizkiém pokrewieństwie, gdy mu ta pono siostrą jakąś wypadała; wystawili potém jakby to i Królowi JMości: łaskawemu zawsze na PP. Chodkiewiczów nie miło było, żeby oni z heretykami w ligi wchodzili i zapominając przepisów Kościoła św. Katolickiego, oddali w małżeństwo Xiężnę. Taki tam był krzyk na Radziwiłłów, że kiedy się im Xiąże Alexander Hołowczyński nawi-

nął, co się pisał pieczętarzem do ostatniéj umowy, tak go źle przyjęli, iż natychmiast nie bez gniewu odjechać musiał z Brzostowicy. Tym czasem P. Alexander i Pan Starosta nasz jęli stryja namawiać, że kiedy już ma oddawać Xiężnę Zofję Radziwiłłom, niechby przynajmniéj o swoich pamiętał, a bez ich wiedzy tego nie czynił, żeby oni przez to do ugody o owe dobra Kopyśkie przyjść mogli z Radziwiłłami. Czego chcieli, to i wymogli nareście, przyrzeczenie na *pismie*, pod wielkiemi zakładami i zarękami od stryja, iż bez ich wiedzy nie wyda Xiężnéj Radziwiłłom na terminie. Dowiedzieli się i Radziwiłłowie co się gotowało, ale Wojewoda dobrze sobie tuszył, mając zapis od Kasztellana; o pogróżki nie stał, pewien będąc swego. Ale tu już poczęło się gmatwać coraz gorzéj. Nuże nasz Pan Starosta z P. Alexandrem bratem pozwali w Ziemstwie Nowogródzkiém Pana Kasztellana do przesłuchania linji powinowactwa Xięcia Janusza z Xiężną Słucką, pozwali też i Xięcia Wojewodę Wileńskiego do tego samego, że X. Słucka wedle prawa Litewskiego,

a jak oni mówili i Kościelnego, nie może być oddana Januszowi w małżeństwo dla blizkiego powinowactwa.

Pan Wojewoda ze wszystkiego się śmiał, bo że ta sprawa była zapisana, nigdy też Roki Ziemskie do terminu ślubnego nie dochodziły. Tym czasem P. Wojewoda rozgniewawszy się na naszych Panów, a najgorzéj na Kasztellana, że się dał namówić i nową podpisał umowę, odgrażał się ze swéj strony najokropniéj. A wiadomo co może! Tak to było aż do teraźniejszego roku. Ale Wmości nie powiedziałem jako się PP. Chodkiewicze z Xięciem Januszem spisali, który ciągle po dawnemu bywać myślał u Xiężnéj Zofji i bywał. Temu dwie lecie, pojechał był do Brzostowicy raz pomnę i powrócił z tamtąd w gniewie, piorunując na naszych Panów, że go źle przyjęli, a widzieć mu się prawie nad raz czy dwa i to krótko, a w przytomności swéj tylko, z Xiężną dopuścili. Potém jakoś zaraz P. Kasztellan uprosiwszy domu, co był go na nowo nasz Starosta wyrestaurował, sprowadził tu do niego Xiężnę z fraucymerem do Wilna. Tu je-

szcze gorzéj Xięciu Januszowi się wiodło, a co dzień trudniejsze stało się widzenie.

Będzie temu rok, jak się to stało, co jeszcze gorzéj pojątrzyło na siebie Ichmościów. Pamiętam to, byłem tu wówczas. Jakoś we Wtorek przed Bożém Ciałem, przyjechał Xiąże Janusz do téj kamienicy, chcąc się widziéć z Xiężną, która oknem patrzała w ulicę i powitała go uprzejmie jak zawsze. Właśnie nasz Pan Starosta był doma, i gdy Xiąże Janusz do wrót się przybliżył, kazał mu oznajmić przez Marszałka, że Xiężna go nie przyjmie, bo on, jako opiekun, tego jéj nie dozwoli. Wielki był krzyk i odgrażanie Xięcia Janusza, wielkie wołanie u wrót, ale to nic nie pomogło.

W kilka dni posłańca z pismem przysłał Xiąże Janusz i podarki tam jakieś, ale i tego Starosta nasz, zasadziwszy szpiegi, nie dopuścił, odprawując z niczém nazad i odgrażając się, że z tego wszystkiego, póki on żyje, nic nie będzie, a Radziwiłłowie dość już swéj nieżyczliwości domowi Chodkiewiczów dali dowodów, aby się wzamian od nich, powolności tylko ciągłych spodziéwać mogli. Probował X. Ja-

nusz sługi przekupić, ale gdy się to wydało i sługi precz odpędzono, dał temu pokój.—Xiężnie zakazano mocno aby się nie ważyła z X. Januszem potajemnie znosić, bo ją miano dać do Monastéru pod srogie zamknięcie. Xiężna płakała, ale to nic nie pomogło. Xiążęta zaś Radziwiłłowie mszcząc się za Jana Karola i Alexandra na Kasztellanie Wileńskim, pozwali go tego roku przed Trybunał sądzący się pod laską Jerzego Xięcia Radziwiłła Kasztellana Trockiego o ową klauzułę w umowie zawartą, że nie miał czynić żadnych zmów potajemnych przeciw nim, pod winą tysiąca kop; oskarżając go o to, że się z synowcami swémi nieprzyjaznemi ich domowi zmawiał i znosił, że przez to powstały wszystkie trudności w dopełnieniu danych przyrzeczeń. Łatwo wam domyślić się, że Kasztellan przegrał sprawę na głowę i skazany został na zapłacenie tysiąca kop; czego on, choćby i do bannicji przychodziło, jak to już mówią że będzie, opłacić, nie opłaci.

— I, rzekł Barbier, Król JMość nigdy takich excessów nie dopuści, bo wiadomo wam

wszystkim, że o ile Chodkiewiczów i wszystkich prawych Katolików kocha i proteguje, o tyle całą tę partję heretycką i syzmatycką, w któréj prawie głową X. Wojewoda z XX. Ostrogskiemi, nienawidzi dusznie. Byłoby to też ostatnie upokorzenie, gdyby oni w téj sprawie a nie my wygrali. Trzeba Wmości wiedzieć, dodał, że teraźniejszego roku w téj partji ruch wielki, a wszyscy przeciw Królowi Jegomości, i przeciw nam Katolikom zażarci jak lwy — że Król JMość Jezuitów silnie proteguje i Unję kościołów z wielką ich zgrozą wznawia, jak się to przed trzema laty stało, a teraz doprowadza do skutku. Tego roku przed Trybunałem uczynili tu wielki zjazd między sobą, na którym byli wszystkie Xiążęta Ostrogskie i Ruskich ziem przedniejsi, a także z Polski, co ich jest reformowanych, najechało. To się tu pisali sobie do jakiéjś Unji Grecy z drugiemi heretyki, że się mają Jezuitom i Katolikom i Królowi opiérać i bronić. Była też tu i sławna dysputa, na któréj występował przeciw trzydziestu ministrom Xiądz Smiglecki Jezuita, i wszystkich ich po-

konał z wielkim ich wstydem i upokorzeniem, ale nieprzeto się poddali, bo chodzą wszędy po mieście i prawią że oni wygrali, choć jest na to niemało świadków, że inak się stało.

— Ale tegoście Wmość nie powiedzieli, zkąd ta wojna i gdzie i między kim będzie, spytał Pan Stanisław, jużcić się z sobą o Xiężnę Zofję bić nie będą?

— Właśnie że tak myślą, rzekł Pan Burczak, a Chodkiewicze krwawo się bronić zamierzają. Pisał, prawda, Król Jegomość i do P. Starosty i do Xięcia Wojewody, aby temu dali pokój, a dozwolili między sobą rozsądzić tę sprawę i wzajemne krzywdy na Sejmie; ale to groch o ścianę. Nieposłuchają!

— I cóż? doprawdy zabierają się do wojny?

— Nie inaczéj, odpowiedział P. Barbier — A że termin wydania Xiężnéj wypada dnia szóstego Lutego roku da Bóg doczekać przyszłego, tu, w téj oto kamienicy Pana Starosty, więc też i tu się kędyś ta wojna pocznie.

— I już się do niéj niepomału sposobią, dodał Burczak. Nasz Pan Starosta zkąd może

lud spisuje i gromadzi, tylko że nie po jego to sile stawić czoło tym obmierzłym heretykom; bo Xiążęta Ostrogskie pomagają bardzo silnie Radziwiłłom i wszyscy co ich jest heretyków i Rusinów. Ale za się i J. K. M. wstydby już było, żeby jego najbliżsi i najwierniejsi padli marnie. To też dzięki Bogu, J. K. Mość pewnie się w to wda, żeby nie przyszło do walki, a jeśli i przyjdzie, ma Pan Starosta nasz pewnych dwa tysiące ludu na obronę kamienicy i dział ze smigownicami ze trzy dziesiątki przyjdzie.

— A cóż na to Radziwiłłowie? spytał Stanisław.

— O! oni na licha ludu będą mieli, bo im wszyscy tegoroczni Konfederaci pomogą, z niemi jedną ligę trzymając. Mają oni trzech Xiążąt Ostrogskich, Pana Kasztellana Krakowskiego, Wojewodę Kijowskiego i Wojewodę Wołyńskiego, a ci niemało mogą ludu wystawić. Jestci z niémi i Xiąże Kurlandski, bo i to heretyk.

— Jest też, dodał P. Barbier i Pan Abramowicz z Wornian, Wojewoda Smoleński i

Naruszewicz szwagier Wojewody i bratanek jego P. Starosta Mozyrski i kto ich tam z resztą policzy. Oni pewnie będą mieli do pięciu a może i sześć tysięcy wojska. Ale gdzie sześć attakuje, tam się we dwa tysiące dobrze bronić można, dodał.

— Pewnie, przerwał Stanisław, że się z pomocą Bożą nie damy.

— A co Wmość na to powiesz, że i Zamojski z niemi, przeciw nas?

— Kto go tam zrozumie? rzekł P. Stanisław. Nasłuchałemci się tyle o nim w czasie Elekcyjnego Sejmu, chociem był ono chłopięciem, że na niego się patrzą jak na cudowisko. Powiedzcież mi kto z nami?

— Wszyscy Katolicy, ale Panów mało, szlachty naszéj więcéj, i pono przyjdzie wszystko wojsko z żołdaków złożyć, bo wszyscy się obawiają zaczepiać Wojewody i konfederacji, a każdy odpowiada grzecznie, że radby służył, ale mu coś wadzi. Tylko Wojewoda Sandomirski po staréj przyjaźni i po wie-

rze z nami (Mniszech) choć i on ludu nie obiecuje przystawić, a sam tylko ma zjechać.

— Ale to się na wielkie rzeczy na katy zabiéra, rzekł Stanisław powstając — Chodkiewicze więc nie myślą oddawać Xiężniczki, a Radziwiłłowie siłą ją brać zamierzają, jak fortecę.

— Tak to jest, co do słowa, odpowiedział Barbier.

— A jakże to Xiężna widzi?

— Bóg tam tylko serce jéj zna, dodał Burczak. Ja, co ją dzień w dzień widuję i raz wraz o niéj słyszę, nie lepiéj ją znam od Waszmościów, co z daleka przybywacie. To wiadomo pewnie, że w sercu sprzyja Xięciu Januszowi najmocniéj, że go nawet miłością kocha, ale tak jest milcząca i spokojna, jak gdyby jéj wszystko szło najlepiéj. Gdy P. Kasztellan z naszym Panem Starostą oznajmili jéj, aby więcéj z X. Januszem żadnych nie miała stosunków ani liścików, (bo i to bywało) pisywała i odbiérała, ani posłańców dopuszczała do siebie, odpowiedziała im — Stanie się wola Waszmościów. Zdaje się nawet, że nie

szuka sposobu widzenia się i dowiedzenia o X. Januszu. Jednakże gdy X. Janusz jedzie ulicą (a często gęsto przejeżdża się pod naszemi oknami) stoi zawsze i patrzy, i chustką mu białą znaki daje, bom to nieraz widział, nawet głową nieboraczka potrząsała. Skoro się o tém dowie P. Kasztellan, pewnie ją w drugie od okna z mieszkania przeniesie, bo już go ta fama bannicji do ostatniéj doprowadziła złości — Jak się dowiedział że ją gotują, wołałby teraz djabła niż Radziwiłła. Wszyscy Katolicy za nim wielkiemi głosy wołają i Xiądz Rektor Collegium św. Jana dawał znać przez swoich Królowi JMści, aby tego nie dopuszczano. Tu jednak w Wilnie heretycy wszystko w ręku trzymają; i żeby im się jeszcze Jezuici nie opiérali, jużby nam i po głowach pewnie jeździli, bo się przechwalają swoją tegoroczną konfederacją bardzo wysoko.

— A zatém i dzień już świta! rzekł Pan Barbier wyglądając oknem, pójdziemyż do naszéj izby, bo i dzbanek suchy i głowa ciężka.

— A ja do roboty po bezsennéj nocy, dodał Burczak — Jak na brzask trzeba będzie

wrota otwierać i ład tu w kamienicy zrobić, bo i Pan Starosta co chwila spodziewany.

— Zaczęli się rozchodzić wszyscy, a dzień już był biały, kiedy się P. Barbier z P. Stanisławem spać pokładli na sianie.

V.

W Kardynalij.

V.

W Kardynalij.

Ranek, w mieście nadewszystko, jest godziną ruchu i życia. W chwili przebudzenia wszystko jest najczynniejsze, rzeźwiejsze, wszystko się porusza, idzie, ży-

je, czuje swoje życie. Gdy świt tylko na wchodzie zajaśniał, już Wilno powoli się ze snu zbudziło; a naprzód ozwał się Bernardyński dzwonek na jutrznię, potém w drugim końcu Franciszkański, potém dzwony chóru innych klasztorów. Ulice zapełniły się przekupkami, wieśniactwem to z drwami, z sianem, to z żywnością przybywającém. Coraz większa wrzawa i zgiełk powstawał. Mléczarki rozstawiały swój szynk kilkogodzinny, otwiérały się winiarnie i garkuchnie, słupy dymów sunęły się z kominów piérzastych. Koło Ratusza zaczynało się kupić żydowstwo, kupcy w bekieszach z futrem szli otwiérać sklepy szepcząc pacierze; stare jejmoście w czarnych axamitnych czółkach z ogromnemi pod pachą xięgami, wlokły się do kościołów, tuląc ręce w lisich i rysich zarękawkach. Golarnie i cyrulickie sklepy były najczynniejsze, przepełnione; przed każdém niemal oknem oznaczoném mosiężnemi talerzyki, widać było ogromną twarz pokrytą mydłem, z którego tylko wąsy na bok stérczały.

Tam i sam po mieście wlokły się żydowi-

ce w białych długich zasłonach, wlokących się po ziemi. Otwierały się bramy i furtki domów, pałaców, otwierały się drzwi kościołów, których ganki i przedsienia obsiadali żebracy, jeszcze pocichu tylko pacierze odmawiając.

Ku Zamkowi idąc, w pałacu Radziwiłłowskim, niedaleko kościoła św. Jana położonym, wszystko się już także było przebudziło; słudzy i drążnicy szli na miasto, dworzanie wybiegali przed wrota, hajducy w barwie przy broni stawali w dziedzińcu na straży. Znać tu było mieszkanie Wojewody po przepychu, po ciżbie która się tłoczyła z różnemi sprawy i dopraszała się wnijścia. Pałac Radziwiłłowski sklejony był z kilku oddzielnych domostw przez Kardynała Radziwiłła, który właśnie podczas gdy się ta powieść toczy, do Rzymu się wybierał po raz trzeci czy czwarty, i nie mieszkając w Wilnie od czasu wzięcia na Biskupstwo Krakowskie, odstąpił był swojego pałacu Wojewodzie. Pałac ten nie miał powierzchowności regularnéj i pięknéj. Coś jednak w jego wielkości zastanawiało, a czystość utrzymania tak w owe czasy rzadka,

wielkiego Pana oznajmywała, nie było bowiem przed nim owych kup śmieci, które niedaleczko zaraz, pod mieszczańskiemi domy wznosiły się, i na których głodne psy tułacze szukały pożywnych cząstek. Część piętra od placyku kościoła św. Jana i drugą na ulicę Zamkową zajmowały okna mieszkania Wojewody Wileńskiego i syna jego Janusza. Pani Wojewodzina, czwarta małżonka iego, nie była pod ówczas w Wilnie, ani żadne więcéj z jego dzieci.

Mówiliśmy już o Wojewodzie i jego charakterze. Był to dumny, bogaty Pan, stojący w oppozycji przeciw Królowi, przewodniczący stronnictwu reformowanych skonfederowannych z Grekami, zazdrośny łaski Królewskiéj, zlewającéj się mianowicie na Katolików, silnie postawiony w opinji publicznéj swojego stronnictwa, związany jednością sprawy i kolligacji z Xiążęty Osrogskiemi i innemi z Rusi, a familijnemi związki z sławnym Lwem Sapichą i Zamojskim. On zdawał się być głową możnych w Litwie i reprezentantem téj klassy, która widząc nie-

chęć Króla ku sobie, a skłonność jego ku Chodkiewiczom i Katolikom, postanowiła sama sobie wystarczać. W takich wyobrażeniach wychowany był i syn Xiążecy, Janusz, poźniéj tak nieszczęśliwie sławny rokoszem, w którym wszczepiona już była niechęć ku Chodkiewiczom największa (będąca pono i najbliższą rokoszu przyczyną) ku katolickiéj partji nienawiść, ku religji panującéj pogarda; chęć poniżenia ich i zemsty.

Właśnie się był Xiąże Janusz przebudził i zawołał na sługi, porwawszy się z łoża wysłanego skórami miękkiemi, (jak pod ówczas było we zwyczaju). Izba, w któréj się to działo, była przestronna, sklepiona oknami ku kościołowi Ś. Jana obrócona, w większéj części makatami obita.

Tam i sam bogate rozwieszone były oręże, stały zbroje połyskujące, jakby tylko co z rąk płatnérza wyszły. U głów Xięcia stała nalé-wka srébrna złocista, miednica i kubek.

Zaledwie się z łoża młodzieniec pochwycił i przetarł oczy, klasnął w ręce na sługi i tupnął nogą w podłogę. Drzwi się otworzyły,

sukno na nich zawieszone podniosło, weszło dwóch pajuków w barwie Radziwiłowskiéj, niosąc wodę zimną do umycia i tuwalnię bogatą do otarcia. Xiąże oblał się cały zimną wodą w milczeniu i otarł, a piękne swoje czarne włosy, które długiemi nosił na on czas, rozczesał. Nie trefił ich jak dziś, nie muskał, tylko wodą je zlał zimną i przygładził nieco dłonią. Potém wąsa młodego poprawił, wziął na się odzienie niebogate, lecz wytworne bo z przedniego sukna i atłasu szyte czarne, bóty z pięknego Kurdybanu żółtego, spinkę z soliterem czarno oprawnym, pas złocisto przetykany perski. Po czém spytał.

—Xiąże Wojewoda Jegomość czy się już przebudził?

—Już, Jasnie Oświecone Xiąże, odpowiedział pajuk—chwila jak do niego Minister Zborowy przypuszczony został.

—Podajcie mi polewkę, zawołać Tomiłę Tomiłowicza.

Pajucy wyszli, chwila upłynęła, Xiąże stanął w oknie od kościoła, a widząc idących doń nabożnych ludzi, z gniewem się ofuknął.—

— Zawszeż na tych pogan papistów patrzéć będę!

Odwrócił się i usiadł za marmurowy stolik, podparłszy się łokciami, kręcąc wąsa. Jakaś myśl uparta chodziła mu po głowie, bo czoło marszczył surowo.

W tém na srébrnéj tacy wniesiono w srébrnéj wazce polewkę, a za służącym wszedł dorodny dworzanin, poufałec młodego Xięcia Tomiło Tomiłowicz, przezwany od dworzan innych Dubiną, bo w istocie prosty był jak dąb i zdawał się na oko nawet, jak to drzewo, niepożyty i silny.

Słudzy wyszli, Xiąże porzucił polewkę i prędko odezwał się do Tomiły.

— Cóżeś zrobił Tomiło? coś widział? coś słyszał? mów.

— Całą noc strawiłem Jasnie Oswiecone Xiąże Panie, chodząc koło kamienicy Chodkiewiczowskiéj, w któréj ruch jakiś i niespokojność panowała.

— Co to było? widziałeś się z kim?

— Dwa jakieś poczty przybyły w nocy.

— Dwa? jak liczne?

— Po kilku ludzi.

— Cóż to za jedni? dowiedziałeś się?

— Nie byłbym się mógł dowiedzieć, bo nie było sposobu wkraść się do kamienicy, rzekł Tomiło, ale szczęściem któś tam już poźno w noc wysłał dworzanina po wino i z tegom dopiéro dobadał.

— Cóżeś wybadał?

— Nic zaiste ważnego, odpowiedział Tomiło, to tylko że przybyli: P. Barbier jakiś Francuz, który mówią, jakem się dziś dowiedział, służył w wyprawach około fortec i obozów, i drugi P. Stanisław z zagranicy, wychowaniec Starosty, który był wysyłany dla nauki sztuki wojennéj.

— Myślą się już w kamienicy fortyfikować, krzyknął Xiąże Janusz—ale zjedzą djabła papiści, lojoliści przeklęci! Gdyby wysoka była jak wieże ich Kościołów, jeszcze jéj dostaniemy, choćby przyszło miasto zburzyć—i—Tu uderzył pięścią w stół aż kubek z polewką wywrócił i wstał Xiąże Janusz.

— Cóż więcéj? Nie starałeś się przekupić tego dworzanina?

—Spoiłem go wczoraj z P. Adamem, i jeszczem dziś na wino zaprosił, może co z niego wycisnę.

—Probuj, rzekł Xiąże Janusz, czyli przez niego nie można by otworzyć do kamienicy Chodkiewiczowskiéj i Xiężnéj wstępu.

—Zdaje mi się że będzie można—rzekł Tomiło, ale jeszcze nie jestem pewny.

—Znałbyś łaskę moją dla siebie, gdyby ci się to udało.

—Począłem tylko, nie wiém czy moje staranie W. X. Mość pochwali.

—Cóżeś tam zrobił?

—Spoiwszy go wczoraj, odjąłem mu był klucz z kieszeni od małéj furtki na Zamkową ulicę z kamienicy Chodkiewiczowskiéj i wycisnąłem go sobie na wosku—Może się przydać.

—Dobrześ zrobił, dobrześ zrobił, zawołał Xiąże Janusz. Z niémi wszystkie sposoby dobre; jak oni walczą, tak i my. Każ taki klucz zrobić, dasz mi go jutro. Idź, nie spuszczaj z oka kamienicy Chodkiewiczowskiéj, żebyś wiedział wszystko, cokolwiek w niéj się dziać będzie.

Tomiło skłonił się do stóp Xięciu i wyszedł. Xiąże chwycił szablę, przypasał ją do boku, potém nałożył czapkę z piórem na jedno ucho i posunął się kurytarzami wiodącemi do pokojów ojca. Cichość panowała w téj stronie pałacu, wielki tłum sług, dworzan, i pajuków, hussarzy, stał u drzwi zapuszczonych zieloném suknem w najgłębszém milczeniu. Na widok Xięcia Janusza, ci którzy siedzieli powstali — Xiąże wcisnął się po za zasłonę i puknął do drzwi ojca—Głos dał się słyszéć ze środka.

— Kto?

— *Janussius,* odpowiedziano.

—Wejdź. Na te słowa otworzył Xiąże drzwi i wszedł do wielkiej bogatéj komnaty, podobnéj téj, którąśmy już opisali, lecz wytworniejszéj jeszcze. Podłoga jéj wysłana była przednim perskim kobiercem, ściany makatami wybite, ławy do koła i krzesła okrywał axamit purpurowy z franzlą złotą. Mniéj tu było na ścianach broni, lecz stół wielki u okna stojący założony był xięgami w wielkiéj

liczbie i porozrzucanemi papiéry. Na nim stał także wielki złocony zégar.

Xiąże Wojewoda siedział w krześle, w axamitnéj sukni z łańcuchem złotym u szyi, bez pasa. Twarz miał surową, bladą, oczy potężne wyrazem, czarne, wąs czarny, spuścisty i czarną długą brodę niejako familijną ozdobę. Na twarzy jego malowało się męztwo, zaufanie w swych siłach, niejakaś pogarda i duma, nieposkromione żadném łagodniejszém uczuciem. Rozpogodziło się nieco oblicze, gdy syn wchodził. Podał mu rękę do pocałowania, któréj Xiąże Janusz dotknął ustami i milczący stanął za krzesłem ojcowskiém.

—Cóż nowego M. Xiąże? spytał ojciec (tak go tytułował zawsze).

—Nic, lub tak jak nic.

—A u mnie są nowiny, rzekł wskazując na papiéry Wojewoda.

—Wolno się spytać W. X. M. ojca mego miłościwego, jakie?

—Odpowiedzi Panów Senatorów, którychem uprosił do pośrednictwa między témi

papistami, faworytami a nami, w rzeczy twojego starania się o Xiężnę Zofję, do któréj połamawszy wszystkie swoje najświętsze obietnice i opisy, nie przypuszczają już WMości. Wszyscy, których sprosiłem, obiecali mi na dzień jutrzejszy zebrać się do mnie, zkąd mają się udać do Kasztellana i prosić go, a raczéj pokazać mu, iż powinien zmienić swoje nieprzystojne postępowanie.— A chce wojny — to będzie wojna i na Boga żywego, sroga wojna dodał Wojewoda unosząc się, wojna, z któréj noga Chodkiewiczów nie wyjdzie!! Co WMość na to? rzekł zwracając się do syna.

— Całuję ręce W. X. Mości, Pana mego i ojca, za Jego pieczołowitość, i dziękuję pokornie za nową łaskę.

— Zdaje mi się, dodał Wojewoda, że gdy Kasztellanowi — zięć mój Kanclerz (Lew Sapieha) PP. Wojewoda Smoleński, Pan Starosta Mozyrski, Pan Kasztellan Żmudzki, P. Kasztellan Krakowski i inni PP. Senatorowie reflexją uczynią, powinienby się pomiarkować, iż za poradą swoich młokosów synow-

ców, owych Jezuickich żaków, źle czyni i na swoją się tylko szkodę i wstyd kusi. Boć mnie nie zmoże, by mu jeszcze drugie tyle Jezuitów pomagało i dwóch niemych Królików — kiedy kraj cały za Radziwiłłem!

— Dowiedziałem się, rzekł Xiąże Janusz, iż Chodkiewiczowie sprowadzili już w sztucce wojennéj biegłych z za granicy, dla fortyfikowania kamienicy swojéj. Wczoraj dopiéro przybyli.

Wojewoda głośno się rozśmiał.

— I oni myślą, że się ze mną mierzyć mogą! zawołał — ze mną i z Radziwiłłami! Chodkiewiczowie ze mną! Ja i moi, czapkami ich zarzucim, pochwami od pałaszy pobijem. Co za zuchwalstwo! — Nie — to oni tylko robią, na postrach, dla pokazania jak dalecy są od zgody — Oni to tak Kopyś i zgodę targują u nas. Nauczyli ich tego Jezuitowie chytrzy, aleśmy i my w ciemię nie bici! Słyszał kto co podobnego!

I Wojewoda zżymał się z gniewu.

— Nie miałeś WM. żadnéj wieści od Xiężnéj Zofji? spytał po chwili spokojniéj.

—Żadnéj, pilnują jéj Argusiém okiem, M. Xiąże, ledwie ją czasem z okna zobaczyć można i to chyba mimo jadąc. Spodziéwam się jednak, że Tomiło komunikację mi z Chodkiewiczowską kamienicą ułatwi, bo już coś począł.

—Pamiętaj tylko WMość, dodał Wojewoda, aby ten drągal i WX. Mości nie wplątał w co. Niechaj on robi, karku nadstawia swego, jakby to z własnego domysłu bez rozkazu niczyjego czynił, bo ci papiści gotowiby ztąd wziąść assumpt do szkalowania nas, że ich zdradą podchodzim. Co Radziwiłłom brzydkie i samo podejrzenie.

—Niech WXMość spokojny będzie o to. Ja mu dałem dobrą naukę, a to chłop sprawny, obrótny i przywiązany.

—Jak się jutrzejsze poselstwo powiedzie Bóg to wie — rzekł Wojewoda do stojącego ciągle za krzesłem Xięcia Janusza, ale niepłonną mam nadzieję, że skutek wziąść powinno; bo kiedy dwunastu poważnych i co najprzedniéjszych Senatorów przełoży tę rzecz, trudno by papiści nie wzięli tego do serca i do

głowy, że się tak, jak oni czynią, łamać obietnic nie godzi. JMPan Kasztellan i tak o włos tylko od bannicji i na mojéj łasce, choć o nię udaje, że nie dba.

Gdy to Xiąże mówił, ozwały się dzwony Jezuickiego kościoła Ś. Jana.

— Zawsze mi bić musi w uszy to nabożeństwo lojolistów, bałwochwalców, lisim ogonem zasłaniających się pochlebców Jezuitów. I niéma już miejsca w mieście, gdzieby ono uszu naszych nie dochodziło, oczu naszych nie raziło.

Xiądz Pastor Zborowy, który w ciągu całéj téj rozmowy między synem a ojcem stał w milczeniu jéj słuchając, odważył się rzec zcicha.

— Długo Bóg czeka i ciérpi, ale nie przeto powątpiéwać potrzeba, że prawdziwa wiara, wiara czysta Pisma Świętego, górę wziąść musi nad przesądnemi obrzędy bałwochwalstwa.

— Miły Xięże Pastorze, odpowiedział Wojewoda, radbym temu z serca wierzył, ale od kilka lat starania nasze w nic idą, bo Król z Jezuitami wielce nam szkodzi; i cośmy

za nieboszczyką Króla Augusta postępowali, to się dziś cofamy.

—Nic to, rzekł Pastor, powoli prawda działa na serca ludzkie. Dozwolmy im wszystką siłę wywrzéć, a potém ich samych bezsilnych weźmiemy. Nie cofa się wiara nasza, ale idzie po całym świecie i co dzień czyni nowe postępy, mimo silnego oporu od Rzymu. Przyjdzie czas i na ten kraj obłąkany, że go Bóg oświécić raczy i da im poznanie swych błędów i prawdy, któréj dziś nie widzą.

Wojewoda westchnął i zapatrzył się w okno, a Xiąże Janusz zaciął wargi. W fizjonomjach obu ich znać było zniechęcenie i brak wiary, brak nadziei, który był czuć się dawał w tym czasie w sercach wszystkich, acz silnie jeszcze się trzymających protestantów. Wielu z nich rzucało nawet nową wiarę. W saméj rodzinie Radziwiłłów były już tego przykłady, a najznamienitszy na Siérotce żyjącym jeszcze, który z Ewangelika stał się tak gorliwym Katolikiem i Katolickiéj wiary podporą.

—Mości Pastorze, rzekł Wojewoda—je-

śli będziecie dziś widzieć P. Wojewodę Smoleńskiego, powiedźcie mu, że go czekamy jutro, otwartemi sercem i rękoma.

To znaczyło pożegnanie, a X. Pastor Zborowy nizko kłaniając się wyszedł. Zostawszy sam na sam syn z ojcem, kilka jeszcze słów do siebie przemówili, potém Wojewoda zasiadł nad papiery i przyzwał pisarza swego, a Xiąże Janusz ucałowawszy znowu rękę ojcowską wysunął się z komnaty, i kazawszy sobie podać konia — wyjechał w miasto.

VI.

Kasztellan i Xiężna.

VI.

Kasztellan i Xiężna.

Tegoż samego poranku wielki był ruch w Chodkiewiczowskiéj kamienicy. Spodziewano się co chwila Pana Starosty Żmudzkiego, a P. Kasztellan Wileński do-

wiadywał się przez sługi, czyli już nie przybył. P. Barbier z P. Stanisławem oglądali i obchodzili kamienicę, dla przekonania się co w niéj dla umocnienia uczynić będzie można i jak ją najlepiéj w stanie obrony postawić, na przypadek oblężenia. Mularze i czeladnicy stali na ich rozkazy gotowi rozbijać mury, poprawiać, wyrzynać okna i otwory na smigownice i działa. Służba z ciekawością przyglądała się tym przygotowaniom, które zdawały się zapowiadać wojnę, wojnę o któréj wszyscy mówili prawda, lecz nikt jéj jednak spełna nie dawał wiary, tak była dziwną rzeczą dla wszystkich. W mieście wiedzieli dobrze mieszkańcy o zajściu Chodkiewiczów z Radziwiłłami, wiedzieli o spisywaniu wojska i odgróżkach wzajemnych, nikt jednak nie przypuszczał, żeby aż do tego przyjść miało, aż do rozlewu krwi bratniéj. Lecz tego dnia dopiéro rozeszła się wieść po Wilnie, że kamienicę Starosty Żmudzkiego nakształt fortecy umacniają, wybijają strzelnice na działa, zamurowują słabsze miejsca, gdzieby łatwiéj wyłomy uczynione być mogły.

Mieszczanie zastanawiali się idąc ulicą, spoglądali na mularzy stojących w fartuchach z kielniami w ręku po dachach kamienicy; głowami kiwali, i mówili do siebie.

— Źle coś panie Macieju koło nas — kiedy tu już fortecę w środku miasta robią.

— Oj źle, Bazyli Iwanowicz, trzeba się nam z miasta wynosić, za nim tu wojna przyjdzie.

I szli daléj niosąc popłoch po mieście. Lecz najniespokojniejsi byli ci, którzy trafem bliżéj kamienicy Chodkiewiczów mieszkali i lękali się żeby niewinną nie padli ofiarą téj wojny domowéj. Ci ze drżeniem poglądali na przygotowania czynione, bledni i milczący, rozpytywali się o liczbę wojsk, która rosła w ustach ludu; smutni, byliby poprzedawali domy swoje za lichą cenę, gdyby się je kto odważył kupować.

Tym czasem P. Barbier przypasawszy sążnistą szpadę, w kapeluszu z piórami, w czarnym płaszczu, kręcąc wąsa, przechodził się po kamienicy, łaził, oglądał, drapał się aż na dachy i wskazywał robotę mularzom. Rozkazał on naprzód podwoić mur od strony

Cerkwi Bogarodzicy, ku obcemu wychodzący dziedzińcowi, kędy łatwo go było przebić a wyłom uczyniwszy do kamienicy się wdrapać; znaczył miejsca, z których oblegających najlepiéj można razić ze smigownic i takownic, kazał tam podnosić murki, indziéj zbijać, w inszych tylko wązkie wyciosywać strzelnice, rozszérzające się na działa u dołu. Ruch był wielki, ale wszystko odbywało się w cichości, spokoju, milczeniu. Gdy się to dzieje w Chodkiewiczowskiéj kamienicy na ulicy Zamkowéj, Kasztellan spokojnie modli się w swoim pałacu pod Bernardynami. Jeszcze go był wówczas nie oddał Zakonnikom Ś. Franciszka; pałac jego stał jeszcze z ogrodem przytykającym do ich klasztoru, a z drugiéj do PP. Bernardynek ubogiego domku; którego krzyżyk raczéj zdawał się szpital niż klasztor oznaczać, tak jego pozór był ubogi.

Kasztelańskie domostwo, zwane wówczas pospolicie Kasztellanją, nie było ani wielkie ani wspaniałe; był to raczéj wiejski dom murowany. Téj wiejskiéj powierzchowności użyczał mu otaczający go ogród. Cichość tu pa-

nowała, przerywana tylko śpiéwem, który do okien dolatywał z Bernardyńskiego chóru. Mniéj wspaniały był dwór Kasztellana od Wojewodzińskiego, mniéj snać w rygorze trzymany, ale swobodniejszy. Nie znać tu było grozy, choć nie brakło porządku. Pałac był czysty, kurytarze jego wysypane piaskiem białym, w komnatach jaśniały ściany obrazami przodków począwszy od owego Chodka Borejki, od którego wiedli się Chodkiewiczowie, przeplatane wyobrażeniami świętych i wypadków z historij kościoła i kraju. U każdych drzwi było naczynie z wodą święconą srébrne, przybite wedle zwyczaju. Każdy się prawie żegnał, kto wchodził.

Służba nie chowała tu kości i kubków pod poły, jak w Radziwiłłowskich korytarzach, bo gra u Kasztellana była zakazana surowo; lecz przystojnie się xięgą pobożną, lub rozmową zabawiała. Sam Kasztellan ranku owego siedział jeszcze w swojéj komnacie obitéj ciemną materją. W izbie téj dowody pobożności gospodarza przeważały nad inne ozdoby i sprzęty. U skromnego łoża wisiał krzyż

i dyscyplina druciana obok szabli i misiurki; na xięgach Kroniki Bielskiego (naówczas zakazanych a jednak czytanych przez Katolików) przy Kronice Matysa Strykoviusa Praekonidesa, leżały Żywoty Świętych, Skargi i Relacja Dysputacji X. Smigleckiego z heretyckiemi ministry odbytéj, mnóztwo też Jezuickich panegyryków i świstków ówczesnych, oręży owéj wojny o wiarę, która się właśnie między Katolikami a nowowiercami toczyła. Kasztellan tylkoco był powrócił z rannéj mszy od Xięży Bernardynów i śniadał sam jeden zamyślony.

Puknięto do drzwi.

— Kto tam?

— *Servus tuus Domine, Joannes.*

— Proszę Wmości, proszę.

Kasztellan kilka kroków od stołu postąpił na spotkanie wchodzącego.

Przybyły był to Jezuita; poznać to było, po czarnéj obcisłéj sukni, po poziomém, pokorném a chytrém spójrzeniu, po złożonych na krzyż rękach, zgiętém na wpół ciele. Na głowie jego świéciła świéżo wygolona korona

jak duży talar — Twarz miał bladą, długą, szczęki wyschłe i skóra zmarszczoną pokryte, oczy wpadłe, nos suchy i wystający, usta szérokie, lecz niedojrzane dla cieńkich warg, policzki wpadłe.

Postąpił Ojciec Jan Jezuita i skłonił się i ręce złożył i dał krok i znowu ukłon i jeszcze ukłon, aż go Kasztellan ścisnąwszy za rękę posadził w krześle, którego on tylko cząstką swego ciała zajął, wtuliwszy czapeczkę pod pachę.

— Cóż tam nowego Ojcze? spytał Kasztellan.

— U nas w Collegium nic, rzekł Ojciec Jan. — Wyszedłem na miasto z Socjuszem, który tu do OO. Bernardynów miał interess względem kościelnéj kapelli naszéj; i korzystałem z okoliczności, żeby JW. Panu złożyć powinne uszanowanie i cześć.

— Bardzo Wam dziękuję, rzekł Kasztellan otwarcie; a nie napijecie się co, albo nie zjecie!

Jezuita się pokłonił i jakby mimowoli język jego na usta spalone wyśliznął się.

— Wiadomo JW. Panu, rzekł, że ustawy naszego zakonu zabraniają nam pić i jeść u Externów.

— To dla młodzieży, rzekł Kasztellan; Wam zaś Ojcze, który excessu nie popełnicie, godziłoby się — pozwolicie — I klasnął Kasztellan.

— Nie, nie, JW. Panie, odrzekł prędko Jezuita, wszyscyśmy przywykli szanować ustawy zakonne, a przytém adwent i post.

Kasztellan nie nalegał więcéj.

— Jakże się ma wasz szanowny Rektor Collegium, Ojciec Garsias Albianus?

— Dzięki Bogu że go w dobrém zdrowiu trzyma i zachowuje, bo czasy są ciężkie i potrzeba wodza Zakonowi do wojny.

— Macie Ojcze słuszność, macie słuszność, odpowiedział Kasztellan — Kościół wojuje właśnie i srogą ma wojnę z heretyki na ramionach.

— Najwięcéj nam dopieka sąsiedztwo ich z naszym kościołem Św. Jana, które się nie obejdzie bez szyderstwa ze świętych obrzędów. Nie wyjdzie żaden z naszych na ulicę, żeby nie spotkał ich wejrzeń, nie dostał po twarzy

błotem, lub szyderstwem w oczy. Oni zdają się tylko czatować na nas i na naszych, tak, że młodzieży nawet, do Akademji uczęszczającéj, nie przepuszczają. A najwięcéj nas to boli, dodał wzdychając Jezuita, że to miejsce, skażone dziś pobytem heretyków, było pomieszkaniem świętobliwego naszego pastérza JM. Xiędza Cardynała Św. Syxta (Jerzego X. Radziwiłła) wielkiego protektora naszego Zakonu, o czém powiedzićć słusznie można słowy Pisma Św. — że to był dom modlitwy, a oni go zrobili jaskinią łotrów.

Kasztellan na samo wspomnienie Radziwiłłów zasępił czoło i rzekł.

—Cóż robić Ojcze, nie jednym oni Wam dają się czuć boleśnie. I mnie oni niemało zaleli za skórę, a ja to wszystko ofiaruję Bogu i do końca wytrwam. To mówiąc Kasztellan siwy już włos pogładził, jeżący mu się wpośrodku głowy i musnął siwiejącego wąsa.

—JWPanu coś oni bez wątpienia nowego gotować muszą. Niezwykły bowiem ruch i

szastanie w pałacu postrzegamy — rzekł X. Jan.

—Cóż, gotują się już do wojny! zawołał Hieronim Chodkiewicz.

— Nie widać tego, rzekł Jezuita — Lecz któż pojmie, co oni czynią? Latają tylko posłańce na wszystkie strony i przybiegają ze wszystkich stron, przynoszą listy i wysyłają bez ustanku — Jakieś wielkie przygotowanie. Słychać iż wielu PP. Senatorów przybyć mają dziś do Wilna.

— Wiém ja o tém, rzekł Kasztellan—Zapewne o jakiémś pojednaniu myśléć muszą, ale nie czas już o tém.

— I jabym sądził, że to coś około zgody być musi, bo Wojewoda Radziwiłł wielce, jak jego dworscy głoszą, niespokojny jest; a niektórzy z jego partji odradzają mu silnie wojnę, i reflektują, na jakąby ztąd szkodę reszta przyszła, gdyby partykularni z sobą bić się poczęli; i jakąby ohydą okrył się ten, coby był piérwszym początkiem zaburzenia. Dziś rano odwiedzał nas jeden tajemnie nawró-

cony z Wojewody dworu, i mówił, że słyszał o jakiémś poselstwie do JW. Pana.

— Do mnie? od kogo? spytał Kasztellan prędko.

— Od Wojewody.

— W jakim celu?

— Tego jeszcze nikt spełna nie wié — Powiadają, że jutro ma mieć miejsce.

— Jutro! dziś, powiedział Kasztellan, zawszem gotów.

Jednakże postrzedz było łatwo, że Kasztellan stał się niespokojny tą nowiną — przeszedł się po komnacie przed siedzącym Jezuitą i spytał.

— Kogoż tam do mnie wysyłają?

— To pewne owych PP. Senatorów, którzy, jak wieść niesie, dziś z różnych stron tu przybędą.

— Tak, tak! dodał: Chodkiewiczowi Senatorów? takich jak oni heretyków, odstępców, konfederatów tegorocznych, rokoszan, co się przeciw nam sprzysięgli i opisali, przeciw prawu, przeciw królowi, przeciw porządkowi! Dobrze to, że bratanek mój P. Starosta dziś

przybędzie, będzie świadkiem i pomocą przeciw tylu.

Jezuita stał jeszcze, potém nizko się ukłonił, po raz, po dwa i po trzy wyrzekł solennie.

— Laudetur Jesus Christus.

I wyszedł.

Kasztellan rozkazał zajechać kolassie i niespokojny, wdziawszy na się szubę sobolą, karmazynowym axamitem okrytą, z długiemi po pięty rękawami, czekał koni, których wkrótce tentent usłyszał. Dworzanin oznajmił że konie stały, i Kasztellan wyszedł. U wrót czekała kolassa, skórą złoconą wybita i cwiekami z główki złoconemi. Koła jéj były nizkie, siedzenie niewygodne.

W głębi siedział sam Kasztellan, woźnica w ferezji na przedzie, dwóch hajduków u stopni, kilku konnych dworzan jechali obok, kilku z tyłu; kozacy nadworni z przodu dla rozpędzania przechodzących, torowania drogi.

Kasztellan wydał rozkaz:

Do kamienicy Pana Starosty Żmudzkiego — I konie strojne w pukle pąsowych

piór, wolno ruszyły naprzód, mijając pałac Sapieżyński Kanclerza Lwa, potém zaułkiem Bernardyńskim na ulicę Zamkową; ztąd wprost już mimo Radziwiłłowskiego pałacu ku kamienicy Chodkiewiczowskiéj Jana Karola.

Odwrócił się z umysłu ku Cerkwi twarzą Kasztellan, gdy mimo okien Wojewody jechał, a służba ciekawa z bramy wypadła patrząc na niego, szepcząc i śmieszki strojąc. Poważny dwór Kasztellana zdawał się na to nie zważać; lecz w chwili, gdy okna mijali, uchyliło się jedno, ukazała się czarna broda Wojewody, i wyraz, *bannita*, zcicha wyrzeczony, padł na ulicę.

Nie odwrócił się Kasztellan, lecz twarz jego zapłonęła, ręka ścisnęła mocno za rękojeść szabli, a w duchu wyrzekł pobożny.

— Ofiaruję to do twoich ran Jezu Chryste, dopomóż wytrzymać.

Kolassa chyżo przesunęła się pod murami Kardynalij, i zastanowiła się u wrót kamienicy.

Kasztellan wysiadł.

Gdy turkot powozu dał się słyszeć w ulicy, z okien Chodkiewiczowskiego pałacu ukazała się nagle głowa młodziutkiéj dziewicy, bladéj, we włosy tylko przystrojonéj — która mignęła i znikła. Kasztellan wchodził w bramę, w któréj zastał Marszałka Dworu i kilku dworzan z odkrytemi głowy stojących. Był tam i P. Barbier również z głową odkrytą, lecz nieco swobodniejszą postawą.

— Dzień dobry WMościom, niéma Starosty — rzekł Chodkiewicz.

Dotąd niéma, odpowiedział Marszałek, ale się go co chwila spodziéwamy—ono co go nie widać.

— Oznajmić Xiężnie, że się z nią będę widział. — Wskazał ręką, i dworzanin jeden pobiegł wnet wschodami na górę.

— P. Barberjusz! Witam WMości. Kiedy tu przybyłeś? rzekł po chwili Kasztellan.

— Wczora dopiéro wieczorem, a dziś już wziąłem się do roboty bez odwłóki.

— Do jakiéj roboty?

— Do fortyfikacji kamienicy — odpowiedział Francuz.

Kasztellan uderzył nogą o ziemię niecierpliwie.

— Co WMość mówisz?

— Taki miałem rozkaz P. Starosty.

— I jużeś rozpoczął roboty.

Barbier wskazał ręką na ludzi pracujących i wznoszące się rusztowania, na kotły z wodą gorącą, której musiano dla zimna do murów używać.

—Niedobrze, że tak odkrycie to robicie— mruknął Chodkiewicz. Wszyscy to widzą z ulicy, gadanie rośnie. Zwołajcie zpołowę ludzi, będzie jeszcze czas na to, róbcie tak tylko, jakbyście co poprawiali.—Nie pokazujcie tego, nie mówcie, że fortyfikujecie. Na co dawać assumpt złym językom ludzkim i tak zawsze skorym.

—Nadewszystko nie wybijajcie w murze strzelnic na ulicę—Można je urządzać zakryte.

— Kilka jest już wybitych — rzekł Barbier—nie miałem rozkazu tajenia się z robotą.

— Ja WMości nie winię, lecz na co w Panu Staroście ta popędliwość.

Dworzanin posłany wrócił i zawołał:

—Xiężna Pani oczekuje na JW. Pana na górze.

Kasztellan skinął głową i poszedł nieukontentowany. Dał znak ręką służbie, aby pozostała na dole, i sam jeden, przeszedłszy schody, otworzył drzwi wielkiéj sali, w któréj na niego oczekiwała Zofja Olelkowiczówna Xiężna Słucka.

Sala ta z oknami od ulicy Wielkiéj była cała ubrana w portrety i obrazy, ogromny pająk zwieszony ze stropu ją zdobił. Kilka weneckich w srébrnych ramach zwierciadeł, zégar stojący, wysokości kilku łokci, w skrzynce ozdobnéj szklannéj, zapełniały miejsc resztę. Dokoła długim rzędem stały krzesła z kręconemi nogami białe ze złotém, stoły marmurowe w postumentach, których nogi wyobrażały delfiny, gryfy i sfinxy skrzydlate.

Xiężna stała wpośrodku gdy wszedł Kasztellan. Była to blada, wysmukła blondynka, z jasnemi oczyma, smutną twarzą i wzrokiem, z usty blademi. Okrywała ją suknia z grubéj ciemnéj materji fałdzista, oszyta forbotami, z ogonem wlokącym się po ziemi. Włos jéj na wierzchu głowy był zebrany i bogatą

wstrzymany spinką. Podwyższały ją nieco korki trzewików, dodawała fałdzista suknia na oko wzrostu i tuszy, lecz pomimo tego Xiężna Zofja była jeszcze tak cienka, tak delikatna, jak rzadko niewiasta, w owych mianowicie czasach. Na jéj twarzy panującym wyrazem był rozlany smutek, któren się zdawał wrodzonym jej, nierozdzielnym od niéj. I nie dziw —

Była siérotą. Z wyrazem głębokiego smutku łączyła się jakaś rezygnacja, jakaś cierpliwość; ale z oczu jasno-niebieskich strzelało mimo to życie i uczucie.

Gdy Kasztellan wszedł, posunęła się Xiężna do jego ręki i ucałowała ją pokornie: na co on odpowiedział skłonieniem i ucałowaniem jéj w czoło. Poczém dawszy jéj znak ażeby usiadła, przysunął ku niéj krzesło i miał mówić, gdy ujrzał w téj chwili dopiéro u drzwi lewych stojącą sztywną i nieruchomą P. Ochmistrzynię.

Była to osoba dobrze już w wieku, a jednak mocno strojna, kołkiem prosta, a z oczyma wytrzészczonemi tak, jak się to tylko godzi, bez

obrazy Bozkiej, mieć żabom na tym świecie. Suknia na niéj wyfałdowana była aż do śmiészności, piersi aż do obrzydliwości odsłonione, chociaż wcale nie było tam na co patrzéć. Na głowie co się działo, tego język nie wypowié! Czegoż bo tam nie było na téj głowie! Były naprzód włosy swoje i włosy pożyczane, nastrzępione, do góry wymuskane, świécące, a co najgorzéj, zdradzające, że nie z jednego wszystkie wyrosły miejsca rozlicznemi odcieniami pasów. Były tam i trzęsidła i wstążki i spinki i kwiatki i piórka i szkiełka. Cały ten monstrualny czub francuzki, wznoszący się na łokieć w górę, nigdyyb w mniéjsze drzwi pokorniéjszego domu się nie wmieścił. —

P. Ochmistrzyni czekała jak Kania dészczu spójrzenia Kasztellana, i doczekawszy się go wreście, jęła się kłaniać tak, zapomniawszy na ów sławny czub swój, że go dobrze nadwéręźyła przez zbytnią pokorę. Kasztellan powitał ją kilką słowy, ale zaraz wyprawił. Nie zaręczamy, czy nie pozostała przy drzwiach, ale to pewna że wyszła.

Zaledwie się za nią drzwi przymknęły, Ka-

sztellan zwrócił się ku Xiężnie, którą zbadawszy wejrzeniem, rzekł:

— Mościa Panno, dochodzicie WMPanna lat słusznych i rozstajecie się z dziecińśtwem dzięki Bogu, skończycie oto szczęśliwie rok szesnasty w Lutym — Jest za co Panu Bogu podziękować.

— I Wam, odpowiedziała Xiężna, którzyście opiekę nad siérotą mieli.

— Czyniliśmy do czego nas, mego ś. p. brata Starostę i mnie rodzic Wasz zacny zobowiązał. Czyniliśmy to z całego serca i duszy, myśląc o dobru Waszém i pomyślności.

— Umiém też i potrafię Wam, jak ojcu być wdzięczna, odrzekła Xiężna.

— Ufając téj Waszéj wdzięczności i dobremu Waszemu sercu, odzywam się do Was, mówił daléj Kasztellan, jako już dorosłéj i statecznéj niewiasty, która wkrótce da Bóg dójdzie lat pełnych. Posłuchajcie mnie. Nigdym z Wami jeszcze nie mówił o sprawach ważniejszych, bom w Was szanował szczęśliwy wiek dziecinny, którego nie godzi się mącić i zasępiać. Dziś, jeśli Wam co niemiłego powiém,

weźcie to jako początek życia, które nie zawsze jest tak pogodne jak dziecinne lata, a Bóg zsyłając nam cierpienia, przypomina niemi niebo ludziom.

— Cokolwiek bądź mi powiecie, odpowiedziała Xiężna poważnie i spokojnie, lecz mimowolnie rumieniąc się lekko, przyjmę to wszystko z pokorą i uszanowaniem.

—Ani wątpię, rzekł znowu Kasztellan. Wiadomo jest Wam, że Xiąże Wojewoda Wileński starał się o Waszą rękę dla syna swego Xięcia Janusza.

Tu Kasztellan spójrzał na Zofję; ona udawała spokojność; lecz gdy wspomniał imie Janusza, zapłoniła się, pobladła i widocznie pomięszała, Kasztellan się zasępił, lecz mówił dalej.

— I nieboszczyk brat mój i ja zezwoliliśmy na ten związek chętnie, widząc w nim i zacność rodu stosowną i majątek ze strony Xięcia odpowiedni Waszemu i nadzieje wszelkich pomyślności. Na mocy naszego zezwolenia bywał tu Xiąże Janusz i starał się o przyjaźń Waszą.

Kasztellan się zastanowił, Zofja milczała.

—Powiedzcie mi szczérze, powiedzcie mi otwarcie, tak jak opiekunowi, tak jak ojcu, pozyskał on ją czy nie?

—Wola opiekunów, będzie wolą moją—odpowiedziała Xiężna.

—Ja nie o to Was pytam, rzekł Kasztellan, ani to chcę wiedzieć, czy W. X. Mość posłuszną będziesz, bo o tém chwili nie wątpiłem—lecz—

— Cóż mam powiedzieć?

—Zyskałli Xiąże Janusz Waszą przyjaźn?

Xiężna milczała Kasztellan podobnie—

—Wahacie się z odpowiedzią? Czuję—rzekł, że mię nie chcecie obrazić—żeście usłyszéć coś musieli o sporach, że nareście przywiązałaś się Xiężna do niego—Powiedzcie mi to, powiedzcie szczérze?

Xiężna jeszcze milczała.

—Nie dasz mi więc odpowiedzi? spytał jeszcze raz Kasztellan i czekał znowu.

X. Zofja powstała, twarz jej zapłoniona ożywiła się, oczy zajaśniały—

— Chcecie po mnie szczérego wyznania, rze-

kła—lecz na cóż się ono zda? gdy nie moja wola lecz Wasza mną rządzi?

— Przynajmniéj jednak, odparł Kasztellan, Możesz WMość być pewna, że musem i gwałtem nic z nią robić nie będziemy, a jeśli ja chcę znać jéj skłonność, to dla tego, abym na nią miał wzgląd!

— Wy mnie znacie, Wy wszystko wiecie, i nie potrzebujecie mnie pytać — odpowiedziała Xiężna Zofja.

— Cóż to Wy nazywacie że Was znam? Ja chcę Was znać lepiéj, rzekł Kasztellan, lepiéj niżeli ze słuchów i plotek—Ja chcę od Was to wiedziéć.

— Chcecie tego? odparła Xiężna — nie obwiniajcież mnie za to, coście sami wywołali z ust moich. Ja jestem posłuszną, znam moje obowiązki, znam dla Was wdzięczność wieczną—Ja Was szanuję i cenię, wiém że Wy jesteście przeciwni X. Januszowi, lecz ja — ja Xięciu Januszowi *sprzyjam*.

— Wy mu sprzyjacie! zawołał Kasztellan, jąkby się tej odpowiedzi obawiał i nie spodziéwał—Tak że jest, takli jest w istocie? Tak?

— Tak jest, odpowiedziała śmiało Xiężna.

— I chcecie go za małżonka? spytał jeszcze.

— Dość powiedziałam — szepnęła cicho Xiężna.

— Teraz posłuchajcie więc, co Wam powiém, rzekł Kasztellan. *Wy mu* sprzyjacie, on *nas* nienawidzi, Wy winniście *nam* wdzięczność, on *nas* prześladuje. *Wy* jesteście za Radziwiłłem, Radziwiłłowie są nieprzyjaciółmi *naszemi*: oni mnie, mnie, co to Wam mówię, bannicją grożą, oni naszéj wiary (nie Waszéj prawda) nieprzyjaciółmi, przeciw nam, przeciw niéj, przeciw Króla się wiążą; oniby nas mogąc, wszystkich w łyżce wody potopili—I Wy im sprzyjacie?

— Powtarzam Wam, odpowiedziała Zofja spokojnie, że znam Waszą władzę nade mną i będę Wam posłuszna.

— Nie chodzi o to, abyś WMość była posłuszna,—jestem tego pewny; lecz żebyś się przekonać chciała, co oni są za jedni!

— Nie moja to rzecz i nie białogłowskiego rozumu te sprawy sądzić.

— Jest to rzecz wszelkiego rozumu — nie-

chciejcie swojego poniżać Xiężno. Chciejcie mnie posłuchać. Gdy Xiąże Wojewoda starał się o Waszą rękę dla syna, gdyśmy mu ją z nieboszczykiem bratem przyrzekli, wiecie jak on się nam za to wypłacił?

— Nie wiém —

— Oto pozwał nas, aby wyzuć z majątku. Oto prześladuje i odgraża się wojować z nami i wojsko spisuje i na nasze głowy się sprzysięga. Powiedzcież, możecie Wy, jeśli macie ku nam jakąkolwiek wdzięczność, jeśli macie ku nam serce dziecięce, być żoną X. Janusza, powiedzcie.—?

— Nie — odpowiedziała stale i zimno Xiężna—Nie—Ja to widzę.

— Bóg Wam zapłać za to słowo, które mnie ożywia, rzekł Chodkiewicz podnosząc się i prostując; wy to czujecie poczciwie, coście dla nas powinni. Wierzcie mi, tamto przywiązanie wynijdzie Wam łatwo z serca.

— Nigdy—cicho odpowiedziała Zofja.

— Nigdy? podchwycił Kasztellan, nigdy? przecieżeście sami przyznali, że żoną Xięcia Janusza być nie możecie?

— Lecz mogę mu, dodała Xiężna, zacho-

wać moje przywiązanie, szacunek do śmierci,—i to uczynię.

Kasztellan ruszył ramionami.

— Dla saméj Was, rzekł, trzeba, abyście się tego pozbyli, co zowiecie Waszą skłonnością dla Xięcia Janusza. Połączenie z nim jest rzeczą niepodobną. Im więcéj on się o nie dobijać będzie, tém ono niepodobniejszém się stanie. Im srożéj nalegać zechce, tém nas więcéj zajątrzy: pozbądźcie się więc tego, co Wam tylko młode lata zatruć może.

— Nigdy — odpowiedziała Xiężna — Lecz nie myślcie, dodała, aby to winne dla Was posłuszeństwo naruszyło—I to *nigdy*—i to—*nigdy*—

— Jakże to oboje pogodzić z sobą potraficie?

— Bóg to uczyni, a ja nie wiém jak—powiedziała Xiężna. Będzie jak On rozkaże i zrządzi.

— Posłuchajcie mnie jeszcze—rzekł Kasztellan; nie wątpię że się to odmieni. Tym czasem wymagam po Was Xiężno, rzeczy, którąście już sami za słuszną uznali. Pojmujecie,

że w takiém położeniu, w jakiém my jesteśmy, byłoby dla nas upokorzeniem, upodleniem ostatniém, byłoby pociechą nieprzyjaciół naszych, gdybyśmy Cię im oddali. Lecz Bóg to tylko widzi i wié, jak się wszystko skończy, Bóg to może odmienić. Zresztą w umowach naszych stoi, że *bez Waszéj woli* i zgodzenia się Xiężno, oddać Was nie możemy, że przymusem tego nie uczynim. Oni się trzymają umowy i my jéj nie odbiegamy. Potrzeba więc, abyście Wy, Wy sami, gdy tego będzie potrzeba, powiedzieli Xięciu Januszowi, że jego być, nie możecie—nie chcecie—

—Kto? ja? zawołała Xiężna Słucka porywając się, żebym ja to jemu powiedziała, kiedy co innego myślę! Na cóż? dla czego? Alboż wy nie jesteście mi opiekunem, alboż nie macie władzy nade mną, żebyście tego i beze mnie rozstrzygnąć nie mogli. Na cóż *ja* to mam mówić?

Kasztellan przejęty głosem młodéj dziewczyny stał i milczał. Odpowiedzi mu brakło, a raczéj przejął się był jéj położeniem i nic-

śmiał już nalegać, widząc i tak tyle uległości i poświęcenia z jéj strony.

— Pomyślcie, rzekł po chwili. Sprawa się ta bez Was nie rozwiąże, jeśli Radziwiłłowie, jak sądzę, po umowę się odezwą spokojnie i do Was pójdą. My Was postawić będziemy musieli, Wy swemi usty powiécie Xięciu Januszowi—Nie.

— Lecz Xiąże Janusz znać będzie że to kłamstwo, zawołała Xiężniczka.

— Zkąd? spytał surowo Kasztellan, albož to godzina względów daje zaręczenie za całą przyszłość—Albożeście mu przyrzekli?

— Dotąd nie; bez Waszéj woli nie byłabym tego uczyniła.

— Gdybyście to nawet uczynili, odrzekł Kasztellan, dziecięce przyrzeczenia nie mają żadnego waloru, a w Waszych latach dopiéro prawa dozwalają przyrzekać i obowiązują przyrzeczeń dotrzymać.

Xiężna milczała i słuchała.

— Stryju i opiekunie, rzekła po chwili wstając, nie żądajcie po mnie ofiary nad siły i kłamstwa, którym usta moje i serce się brzy-

dzi. Ja tego nie powiém, ja nie mogę tego powiedzieć Xięciu Januszowi; on wié, on czuje, że jestem mu skłonną. Na cóż się przyda kłamstwo moje, choćby ono w chwalebnych było wyrzeczone powodach. Ja nie powiém kłamstwa, nie wystawujcie mnie na taką próbę, ja tego nie uczynię, bo nad lata i nad siły moje.

—Nie nad siły, odpowiedział Kasztellan, bo WMość, jak widzę, wolę macie i stałość nad lata. Nicby dla Was nie było trudnego, gdybyście chcieli tylko.

—Ja na wszystko się zgadzam, czego po mnie wymagacie, powiedziała X. Zofja przyklękając i całując Kasztellana w rękę, którą on śpiesznie usunął—lecz nie chciejcie, żebym sama to mówiła Xięciu Januszowi—Dość będzie gdy Wy to odemnie powiécie.

—Chciejcie rozważyć i swoje i nasze położenie, mówił dalej starzec. Jeśli przyjdzie do tego, że w obec Was o umowę się dopomną, że Was pytać będą, a Wy uniosłszy się jakąś fałszywą chęcią prawdy powiécie X. Januszowi, żeście mu skłonni i życzliwi. Powiedzcie, rozważcie jakie będzie nasze położenie w téj

chwili. Oto, upokorzeni, oddać Was będziemy musieli, milczéć i wstyd połknąć.

— Więc nie dopuszczajcie aby do tego przyszło, rzekła Xiężna Zofja. Od Was to zależy, w Waszéj to mocy, nie przywodźcie mnie do tego, odpowiedzcie mu sami, czyńcie co chcecie. Ja słowa nie rzeknę i będę posłuszną.

— Macie więc w wyrzeczeniu jednego słowa skrupuł sumienia, nie chcecie popełnić kłamstwa?

Kasztellan rzekł to, inaczéj nie mogąc pojąć oporu Xiężnéj, jak wedle swych uczuć i myśli.

— Nie—odpowiedziała Xiężna, ale to jest nad siły, ja tego uczynić nie potrafię.

— Nawet dla ocalenia nam wstydu? spytał Kasztellan.

— Nawet dla ocalenia życia—odpowiedziała Zofja.

— Kasztellan tonem i słowy się zastanowił, wziął czapkę i zmarszczywszy czoło, rzekł.

— Jesteście rozumni nad lata, i wola Wasza nad lata; czyńcie co się Wam podoba, a my się starać będziemy, aby do tego nie przyszło, iżbyście Wy w téj sprawie wyrok dawać mieli.

Xiężna ucałowała rękę Kasztellana i pożegnała go w milczeniu—potém cicho ozwała się.

—Niéma więc żadnéj nadziei zgody?

—Żadnéj, na Boga, ani nadziei, ani podobieństwa! Radziwiłłowie spisują na nas wojsko, wszyscy się do nich łączą heretycy. Wszyscy nieprzyjaciele Katolików i Króla, wszystko się gotuje do wojny, która niechybnie grozi. Cała Litwa bierze się z nami, lub przeciw nas—a o *was* do oręża—

—O mnie! spytała Xiężna, tak że ja wiele obchodzę Xięcia Janusza!

O! nie myślcie tego, zawołał Kasztellan, który żwawo myśl, jaka mu przyszła do głowy, pochwycił i wyłuszczył. Jeszczeście byli dziecięciem, kiedy to było ułożono o Was. Nie o Was to chodzi, ale o Słuckie i Kopylskie Xięztwa, ale o dobra i majętności Wasze, które w dom ich wniesiecie—Nie Was to oni kochają, ale bogactwa wasze!

—Nie mnie! nie mnie! To Wojewoda mógł tak myśléć, może tak czynić, ale Janusz, onby tego nie potrafił, ośmielona odpowiedziała Zofja.

— Niedaleko, wierz mi Xiężno, pada jabłko od jabłoni, rzekł Kasztellan; zresztą nie moja to rzecz was przekonać, ale czasu. Bądźcie zdrowi, a nie powtarzajcie bez potrzeby nikomu o tém, o czémci my tu mówili z sobą.

To mówiąc Kasztellan powtórnie w czoło Xiężnę pocałował, ona go w rękę; i tak się rozeszli. Zaledwie za Chodkiewiczem drzwi się zawarły, wpadła P. Ochmistrzyni do sali, ale już tylko Kasztellański but zobaczyła, i tego pożegnania, po które się tak śpieszyła, nie otrzymała.

— Otoż i nasz Pan Starosta jedzie! zawołała stając w oknie.

Zofja nie słyszała tego, nie poszła do okna, powolnym krokiem udała się do swoich komnat, a za nią wielce zasmucona także Pani Ochmistrzyni powlokła się poprawując swoich fioków na głowie, ciężących niemało ogromem.

Gdy się to dzieje, dwór Pana Starosty Żmudzkiego Jana Karola Chodkiewicza wjeżdża ulicą i długim ciągiem sunie się w Bramę Kamienicy, witany od dworzan i wszystkich mie-

szkańców Wileńskiego pałacu. Ukazał się i Pan Starosta na końcu, jadący konno., przy którym kolassą jechał Xiądz Jezuita Spowiednik jego. Kasztellan Wileński stryj, stojąc na ostatnim stopniu wschodów, piérwszy go powitał z konia zsiadającego.

VII.

Posłowie.

VII.

Posłowie.

NASTĘPUJĄCEGO dnia wielki tumult przed Radziwiłłowskim pałacem, którego nietylko dziedzińce, lecz i plac przed nim, napełnione były ludźmi i końmi poczto-

wemi, hussarzami, hajduki, pajukami, kozactwem Panów Senatorów, co się tu byli zjechali. Tłum ten ludu, koni i kolass, wystawiał dziwnéj rozmaitości obraz, któremu ciekawi Wileńscy mieszczanie przypatrywali się stojąc we wrotach kamienic, w oknach i na tych stosach gnoju i śmiecia, które jakby wałem większą część domów opasywały naówczas. Były tam wszelkiéj barwy i kroju stroje: połyskujący hussarze, zamaszyści z długiemi sełedcy kozaki, ogromni hajducy, mali pazikowie w opiętych sukniach, i dworzanie szlachta strojni każdy po swojemu, przy karabelach, na koniu. Cała ta ciżba dworska gwarzyła głośno, gdy Panowie u Wojewody na śniadaniu podobnież żywą wiedli rozmowę, przed udaniem się w poselstwie do Kasztellana Wileńskiego, imieniem Wojewody. Brakło jeszcze tylko P. Lwa Sapiehy Kanclerza, zięcia Wojewody, który się był nieco opóźnił, lecz wkrótce i jego poczt się ukazał ciągnący ulicą od Zamku. Sam Kanclerz jechał kolassą i kilku tylko z sobą miał pacholąt. Ledwie już dla ścisku powóz Sapiehy mógł zajechać

do wrót pałacu, mijając ludzi, konie i kolassy wprzódy przybyłych. Wysiadł z niéj w gankach Lew Sapieha, wysokiego wzrostu, mężnéj i wspaniałéj postawy mąż, którego twarz męzką zdobił wąs i bródka krótko ucięta; na głowie strzępiła się odrobina tylko włosów podgolonych. Kanclerz Lew udał się prosto do sali, w któréj już wszyscy zgromadzeni byli Senatorowie. Była to wielka komnata, wysoka, przecięta kilką długiemi oknami, ozdobiona w trofea wojskowe, pozawieszane na ścianach, na obiciu z pąsowego axamitu. Wśród niéj wrzawa była i nacisk, bo wszyscy przybyli rozmawiali żywo i razem. Xiąże Wojewoda z synem gospodarzyli gościnnie przyjmując. Zastawiony był stół wpośrodku, pokryty szytym we wzory, spadającym nizko obrusem, na którym kurzyły się srébrne z potrawami misy i pół-miski. Przy drugim stole był Marszałek Dworu i Piwniczy, mający dozór nad stosami srébrnych naczyń, konwiami, dzbany i flaszami wina, kubki, becherkami i t. d. Dworscy posługiwali. Gdy wszedł Lew Sapieha, znać było, że się już śniadanie po-

częło od półgodziny najmniéj, bo i twarze nim ożywione i głosy raźniejsze były, niż na czczo bywają. Witał go uściskiem Pan Wojewoda i Xiąże Janusz, inni Senatorowie ukłonem, inni podaniem ręki — Zrobiono mu wnet miejsce przed stołem, i wrzawa na chwilę przycichła —

— Opoźniłem się nieco, rzekł Kanclerz do Wojewody; ale to nie moja wina, tylko mego zégaru, który mi jeszcze nie tak spoźnioną godzinę mówił, jak jest może w istocie. .

— Nie jest jeszcze późno, odrzekł Wojewoda, a na nasze poselstwo, do którego WMościów Miłosiernych Panów uprosiłem, jeszcze wielka pora.

— Wiém, odpowiedział Lew, że Kasztellan w domu, i snać przygotowany na przyjęcie nasze, bo i Pan Starosta Żmudzki przed godziną do niego przyjechał i Pan Alexander Chodkiewicz także tam być musi.

— Zapewne do rady wezwał bratanków, rzekł Xiąże z uśmiéchem; ciekawa rzecz czy mu tak dobrze znów poradzą jak wprzódy, kiedy go namówili na owo zaręczenie im dane. Nie

spodziéwam się, dodał, aby co z tego poselstwa wynikło nowego, bo Chodkiewicze już nawet czy szczérze, czy dla pozorów tylko, kamienicę swoją, jak mi mówią, fortyfikują, i do wojny serjo się sposobią. Zapewne P. Starosta Żmudzki radby tu swoich wojennych talentów dać dowody.

— Wątpię aby do takich ostateczności przyjść miało, rzekł Lew. Ufam że PP. Chodkiewicze miłują pokój i zgodę. Mam wszelką dobrą nadzieję.

Lew Sapieha swego czasu znakomity człowiek, zawsze tym sposobem brał rzeczy, w każdéj sprawie wyszukując środka, i tego się trzymając, żadnego stronnictwa nie podpiérając wyraźnie, wszędzie usiłując być medjatorem i pojednawcą; był bowiem stworzony na pośrednika. Gdy te słowa mówi Sapieha, tym czasem' Abramowicz Wojewoda Smoleński, rzuciwszy okiem na Lwa Sapiehę, ozwał się cicho do Starosty Mozyrskiego, kończąc rozmowę poczętą w przedmiocie religijnym.

— Dajmy pokój, bo oto Kanclerz nas słucha i gotów wziąść do siebie, co na papistów

i apostatów powiémy, należąc i do jednych i do drugich.

Zaczém umilkli i ustanowiła się rozmowa ogólna, nic nieznacząca, powierzchownie tylko przedmiotów, i to obojętnych, dotykająca. Gdy się już śniadanie kończyło, Pan Wojewoda Wileński wezwał ku oknu PP. Senatorów zgromadzonych, i zaczął im przekładać żądania swoje z pewném umiarkowaniem i wstrzemięźliwością języka, uważając na przytomność osób tylu.

— Wielce jestem WMościom miłym Panom a braciom obowiązany, rzekł, żeście raczyli na moją prośbę się nakłonić, i udzielacie mi pomocy Waszéj w opłakanéj téj sprawie z P. Kasztellanem Wileńskim. Nie będę się tu rozszérzał z żalem moim, bo WWMościom aż nadto jest wiadoma, jako i całéj Koronie i W. X. Litewskiemu sprawa nasza, jawna i znana. Jakkolwiek się ona zakończy, a ufam że dobrze i pomyślnie, słuszna jest, aby JMPan Kasztellan dozwolił tym czasem Xięciu Januszowi starać się o łaskę i przyjaźń przyszłéj jego małżonki. Przez lat kilka miał

on wolny do niéj przystęp; dozwolono mu było jéj zasługiwać się; od czasu zaś jak się między nami te nieszczęsne zawiązały spory, odepchnięty został od domu JMPP. Chodkiewiczów i Xiężnéj Zofji, a nietylko jemu drzwi zamykają, widzenie się trudnią, lecz posłańców nie puszczają, listy precz odsyłają, słowem, wszelką zerwać usiłują kommunikację. Jeśli JMPP. Chodkiewiczowie i nadal tak postępować będą, widocznie nie zgody, jak powiadają, ale sporu i wojny okażą pragnienie. Raczcie WM. wyłożyć im potrzebę, przyzwoitość i słuszność żądań naszych, których zresztą zadość uczynienie do niczego nie obowiązuje i w niczém PP. Chodkiewiczów nie wiąże. Niech Xiąże Janusz ma swobodne każdego czasu wejście, a ja tym czasem więcéj nie żądam. Spuszczam się na przemożną intercessją WWPP., miłych braci, iż to otrzymać u nich potraficie—i jeszcze raz ponawiam podziękę moją, żeście to poselstwo raczyli przyjąć na się —

Senatorowie kilką słowami odpowiedzieli, a mianowicie Pan Abramowicz Woje-

woda Smoleński, który odezwał się za innych.

— W. X. Mość możesz być pewnym że się tak stanie, jak słusznie żądasz. Jakkolwiek P. Kasztellan unika dopełnienia umowy, nie potrafi w to, aby ją unikczemniał; sam on to czuć musi, że jest świętą i niezłamaną. Zaczém spodziéwać się można, że nim zgoda i koniec temu wszystkiemu będzie, nie odmówi przynajmniéj X. Januszowi przystojnego obcowania z przyszłą jego małżonką.

Po tych słowach Senatorowie zabrali się ruszać do pałacu Kasztellana Wileńskiego i uradzili między sobą, że głos miał być dany Kanclerzowi Sapiezie. Powiedzieliśmy już iż człowiek ten, jako z charakteru swego medjator, najstosowniejszy był, gdy chodziło o zbliżenie nieprzyjaciół i pojednanie choć chwilowe poważnionych. Naradziwszy się więc PP. Senatorowie poczęli żegnać Wojewodę, który miał ich z powrotem oczekiwać u siebie, i ruszyli potém Zamkową Ulicą, ku pałacowi Kasztellana pod Bernardyński Klasztor.

Kasztellan przygotowany był na ich przyjęcie. Przeszłego jeszcze dnia oznajmił mu coś

zrana o poselstwie X. Jan S. Jezu, poźniéj zaraz inne osoby blizkie Senatorów, nietylko o tém, ale i o przedmiocie poselstwa znać dały. Z przybyłemi więc właśnie P. Starostą Żmudzkim i bratem jego Alexandrem uczyniono naradę. Rownie oni, jak sam Kasztellan, wszelkiemu krokowi do zgody i wszelkiéj powolności dla Radziwiłłów byli przeciwni. — Obrażeni, i nie bez przyczyny, słabsi, więc obraźliwsi, trzymali się dumnie i mocno w nieprzyjaźni swéj, wyzywali wojnę, żeby nie okazać, iż się jéj lękają. Dwaj bratanki Kasztellana umyślnie postanowili poselstwu być przytomni, dla tego, iż zawarta ze stryjem umowa, obowiązywała go nic bez nich w téj sprawie nie poczynać; postanowili nie postąpić nic, nie dać się ugiąć w rzeczy, a w odpowiedzi nic stanowczego nie wyrzec i zbyć czémś dwuznaczném. Chcieli oni okazać tém, jak mało dbają o zgodę i jak niepodobną ją widzą, gdy Xiąże Wojewoda tym krokiem ku nim okazywał przeciwnie, że zawsze stał przy piérwszéj umowie, którą, jaką koniecznie dopełnić się mającą, uważał.

Gdy Panowie Senatorowie przybyli do pałacu Chodkiewiczowskiego, nie znaleźli tu na pozór żadnego na przyjęcie ich przygotowania. Zwykła liczba dworskich wyszła na ich spotkanie, żadnego nie widać było przyboru, żadnego oczekiwania, ani też podziwienia, gdy się ukazali. Kasztellan wyszedł do wielkiéj sali z Panami Janem Karolem i Alexandrem synowcami swemi, z kilką przyjaciółmi, i tu posłów przyjął. Po piérwszych, acz bardzo zimnych przywitaniach, Lew Sapicha głos zabrał.

— Przybyliśmy tu, rzekł, P. Kasztellanie Wileński, w pośrednictwie i poselstwie przyjacielskiém od Xięcia Wojewody Wileńskiego.

— Wątpię, ażeby co przyjacielskiego między mną a Panem Wojewodą być mogło, odpowiedział Kasztellan zimno i poważnie.

— Nie chciejcie się tak uprzedzać, odpowiedział Lew. Być może, iż okoliczności przywiodły was do oziębłości, do niechęci wzajemnych z P. Wojewodą Wileńskim; lecz mamy wszyscy nadzieję, że się to po przyjacielsku i

zgodnie, da Bóg, rozwiąże i ukończy. Smuci się i trapi sam P. Wojewoda Wileński, iż tak szkodliwe zajście rozdziela go—z P. Kasztellanem i zacną rodziną JMości, ale ufa zawsze Jego sercu, iż potrafią się spory z powszechném obu stron zaspokojeniem skończyć. Wiadoma, mówił daléj Lew, jaka była umowa, ś. p. brata Jego i Waszego względem oddania Xiężnéj Słuckiéj pupilji Ich, za Xięcia Janusza syna P. Wojewody—

Tu Lew Sapieha powolnie i dobitnie byłby daléj swój urzędowy wykład rzeczy ciągnął, gdyby mu żwawo Jan Karol z żołnierską popędliwością nie przerwał.

—Pan Wojewoda Wileński próżno w tę umowę bije, ona jest przeciwną prawom Kościelnym i W. X. Litewskiego i do skutku przyjść nie powinna, nie może. Nie przyjdzie! dodał kładnąc mimowoli rękę na szabli.

—Nie dla wszystkich, odpowiedział Abramowicz, prawa Kościelne są obowiązującemi.

—Lecz dla wszystkich sądzę, rzekł Jan Karol dumnie, obowiązującemi są Litewskie, które równie małżeństwa między blizkiemi zaka-

zują, pod bękarctwem dzieci i zabraniem majętności.

— Wszakże nie piérwszy by to był przykład takiego małżeństwa, rzekł Lew; stare przykłady upoważniają do niego: mamy zawsze nadzieję, że ono się da ułożyć. Tym czasem, nim się te spory ukończą i rozstrzygną (o czém nie wątpim) prosi przez nas Wojewoda i my się o to wszyscy do JMPana Kasztellana wstawiamy, abyście przynajmniéj jednéj części Waszych obietnic dotrzymali, nie broniąc przystępu do X. Zofji i starania się o jéj względy Xięciu Januszowi.

— Do czegoż to ma służyć? spytał zimno Kasztellan: do tego, aby Xiężną Zofją wystawić na szkalowanie, aby ją niejako zmusić do przeciwnego prawom małżeństwa?

— Nie jest to myśl Wojewody — rzekł Lew Sapieha, ani go o to posądzać się godzi, lecz P. Wojewoda Wileński, gotów będąc zawsze obietnic swych dopełnić święcie, spodziéwa się mimo zajść i sporu, że JMPan Kasztellan ze swéj strony podobnież postąpi. Radby on, aby gdy to małżeństwo do skutku przyjdzie,

Xiąże Janusz nie był obcym swéj żonie. Gdy, co więcéj, powiedziano jest w umowie, iż Xiężna, nie przymusem i siłą (co słuszna) lecz z własnéj woli i natchnienia, gdy się za X. Januszem zdeklaruje, ma być daną mu za żonę; sprawiedliwa jest dozwolić mu starać się o to, aby jéj łaskę i affekt pozyskał.

Kasztellan zimno całego perjodu medjatorskiego z zwykłą Lwu Sapiezie płynnością, wycedzonego powolnie, wysłuchał, a po chwilce rzekł.

—Nie potrafim się zrozumiéć, Mości Kanclerzu—bo z inszego punktu rzecz widzimy. Wy obstajecie za umową pisaną?

—Wyście ją sami podpisali?

—Zrobiłem to nieuważnie i nieprawnie, prośbami i naleganiem zmiękczony, a raczéj braterskiém zobowiązaniem się zmuszony—rzekł Kasztellan—W tém chętnie przyznaję się do błędu i winy—i chcę się poprawić. Umowa ta nie ważna.

—Wy więc, spytał Lew Sapieha, za nieważną całkiem uważacie tę umowę? Wy do-

pełnienia tego, coście Waszym szlacheckim podpisem stwierdzili, odmawiacie?

Na te słowa, które Kasztellana, jakkolwiek wytrwałego i cierpliwego, krwią oblały, gdy usłyszał o złamaniu szlacheckiego słowa, wymienioném umyślnie przez Sapiehę, spodziéwającego się zwojować wszystko przeciwne tym argumentem nieodpartym w owych czasach; na te słowa Kasztellan dumnie odstąpił krok, zaczerwieniony, blady na przemian, drżący..

— Nie jest to miejsce, nie czas, rzekł, dopominać się spełnienia umowy; a gdy będzie czas i miejsce potemu, okaże się jawnie, kto jak swoich zobowiązań i przyrzeczeń dopełni.

Domawiając tych słów, skłonił się Kasztellan, i unikając dalszéj rozmowy, nalegań, przeprosin, prośb, kilka kroków w tył odstąpił. Było to hasłem pożegnania dla PP. Senatorów, którzy zrażeni zimną a dumną Kasztellana postawą, surowemi wejrzeniami P. Alexandra i Jana Karola, więcéj nalegać nie śmieli, w duchu przypisując zły skutek poselstwa niezwykłéj przymówce Lwa Sapiehy,

i na niego zwalając całą winę. Za czém mieli się do wyjścia z niczém, i nadspodzianie krótko zabawiwszy, w milczeniu wracali do pałacu Radziwiłłowskiego.

— Kanclerz wszystko popsuł, mówili pocichu w drodze; niechże się jak chce przed Wojewodą teściem swoim tłumaczy teraz, my umywamy ręce.

Xiąże Wojewoda oczekiwał na nich z synem wielce niespokojny, wahając się między nadzieją a niepewnością skutku; lecz gdy z okien ujrzał tak prędko nazad powracający orszak, zdziwiony i pomięszany, sądził naprzód, iż Kasztellana nie zastali.

Syn równie, a może bardziéj jeszcze niespokojny,. nie śmiał złowrogiego ojcowskiego milczenia żadną przerwać uwagą: spoglądał na powracających, nie pojmował powrótu.

Wreście podjechali pod Radziwiłłowski pałac, i w milczeniu szli po wschodach, naradzając się z sobą, jakby nieskuteczność poselstwa Wojewodzie Wileńskiemu osłodzić.

— Wam Mości Kanclerzu przystało, rzekł Starosta Mozyrski, zdać sprawę ze wszystkiego. Osłodźcie Wojewodzie jak można odmówienie PP. Chodkiewiczów —

Wojewoda oczekiwał na nich w progu, spójrzał i poznał niedobrą nowinę' na twarzach.

— Cóż nam przynosicie Mości Kanclerzu! rzekł, czy Kasztellana nie było w domu, czy Was nie przyjął?

— Owszem, uczciwie nas przyjął — rzekł Lew najswobodniéj, medjatorską swą odgrywając rolę.

— I cóż odpowiedział? przerwał Wojewoda.

Kanclerz namyślał się jeszcze jak odpowiedź obrócić i ucukrować, gdy Xiąże, domyślający się wszystkiego, purpurowy stanął i wrąc od gniewu zawołał.

— Mości Kanclerzu! czyli nas i naszą prośbę znieważył??

— Bynajmniéj, owszem, odpowiedział Lew.

— Więc dozwolił? zapytał Wojewoda równie szybko. To być nie może! Zanadto

znam jego i tych Jezuickich jego bratanków! Cóż odpowiedział? co odpowiedział?

— Słowo w słowo; przerwał Starosta Mozyrski, widząc, że Kanclerz nie prędko odpowié, a Wojewoda burzy się coraz bardziéj; słowo w słowo, stryju—że gdy będzie czas i miejsce potemu, pokaże się kto swoich przyrzeczeń i jak dopełni.

— Cóż to znaczy? krzyknął Wojewoda — czy wyzwanie!

— Ale nie! nie! przerwał Lew Sapieha — nie w tém to sądzę rozumieniu powiedzianém było—Kasztellan jest obrażony, trzeba mieć wzgląd na jego żal poniekąd słuszny!

— Odmówił więc, wołał Wojewoda—odmówił WWMMościom i mnie—odmówił tego o cośmy prosili, odmówił dozwolenia widzenia się z Xiężną Panu Januszowi?

— Na to nie odpowiedział wyraźnie, rzekł Lew—ale sądzę —

— Ja sądzę, rzekł Wojewoda, że to się inaczéj jak z orężem w ręku nic skończy — Chce zatém, żebym poszedł z wojskiem dopomnieć się umowy! Chce tego, będzie miał.

Znajdę ja przyjaciół, znajdę ja swoich, tak jak on ma Króla i Jezuitów — Chce wojny, chce wojny —

— Ale, Xiążę teściu, przerwał Lew, nie wyciągajcież tak śpiesznie wniosków tak dalekich—nie mówił, nie myślał o wojnie —

— A cóż to znaczy Mości Kanclerzu—odpowiedział gorąco Wojewoda —jeśli nie to? Cóż to znaczy? że za nic ma umowę, że jéj dopełnić, nawet w warunkach mniejszych i na przedstawienie Wasze, na prośby moje niechce? Że ją zrywa — Ale na Boga Jednorodzonego, ja jéj nie zrywam. Ja się o nią dopomnę, srogo się dopomnę! Przepraszam WWPP. moich a miłych braci, żem Was naraził na to nieprzyjemne poselstwo — Wybaczcie mi to, alem się nie spodział, aby tak na niczém zejść miało. Bóg świadkiem moim! Ale znajdę ja inny, skuteczniejszy sposób na PP. Chodkiewiczów, i nie dozwolę żartować z siebie. Wszystkich WWMościów biorę za świadki, żem nie piérwszy umowę odstąpił, że nie ja ją zrywam, że ją sza-

nuję, a jeśli nie dobrą wolą, to musem i orężem dopełnienia jéj dopilnuję.

To mówiąc Wojewoda padł na krzesło zmęczony, trzęsący się od gniewu, spójrzał na Xięcia Janusza, który stał także w płomieniach: spójrzał, i uderzywszy ręką po kolanie, rzekł:

—Wojna! no to wojna! gotów jestem i do niéj! Lecz nie ustąpię, na Boga Jednorodzonego, nie pożyje mnie! Będziesz miał wojnę, kiedy jéj chcesz i do niéj wyzywasz! A krew ta niechaj spadnie na ciebie!

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.